

Procedura Ostateczna

4 maja 2018

Obudziło go uporczywe, świdrujące wycie. Poruszył ostrożnie zziębniętymi stopami i z wysiłkiem podniósł wyschłe na drewno powieki. Wokół panowała czarna, nieprzenikniona ciemność, a poprzez wypełniający wszystko upiorny jazgot, przebijały nieokreślone odgłosy tępych uderzeń.

Nagle tuż nad głową walnęło coś potężniej i na jego zarośniętą gębę posypała się mokra ziemia z drobnymi kamykami.

– Co jest do chol...? – nie dokończył, gdyż w tej samej chwili oślepił go jaskrawy strumień światła słonecznego, który wdarł się do środka poprzez wywaloną z zewnątrz dziurę. Wstrząsnęło nim jeszcze kilka solidnych ciosów, a całe misternie niegdyś zdobione wieko trumny zmieniło się w nieskładny stos postrzępionego, przegniłego próchna.

– Dość tego dobrego, wstawaj! – usłyszał zniecierpliwiony, męski głos.

Ktoś podał mu silną, twardą dłoń, po czym pociągnięty energicznie ku górze, znalazł się błyskawicznie na ciepłej, rzęsiście oświetlonej porannym słońcem powierzchni. Po dłuższej chwili, gdy wreszcie wzrok przyzwyczał się do światła, zobaczył, że stoi wśród czterech ponurych mężczyzn. Dwóch z nich, ubranych w uświnione kombinezony robocze, trzymało oblepione gliniastą ziemią szpadle, a dwóch pozostałych, wyglądających na znudzonych urzędasów, kartkowało pilnie jakieś obszerne dokumenty.

– Skory Wacław, syn Karola i Zofii? – zapytał jeden z urzędników.

– T... tak – potwierdził niepewnie.

– Urodzony sześćdziesiątego drugiego? – pytał dalej służbowym

tonem.

– Tak

– Zmarły czwartego na raka wątroby?

– No... na to... wygląda – nagle jasno pojał co się dzieje.

– W porządku – zawyrokował kancelista i podał mu jakiś karteluszek. – Proszę to oddać na pierwszej bramce selekcyjnej.

– Słucham? – nie zrozumiał.

– Idź pan na południe, jak wszyscy – odpowiedział od niechcienia jeden z fizycznych, po czym starannie zdeptał wyrzucanego właśnie peta. Zabierali się za następnego, spoczywającego głębiej delikwenta.

Skory poczuł się natrętem, przeszkadzającym w ważkich, cudownych obowiązkach. Machinalnie schował otrzymaną kartkę do kieszeni niemożebnie wygniecionej, wilgotnej garnituru i popatrzył dookoła. Na całym obszarze rozległego, zadrzewionego jak niezły las cmentarza miejskiego, panował ruch niczym w dniu Święta Zmarłych. Umęczone brygady odkrywkowe przewalały całe tony gliniastego gruntu, a zdezorientowani, odkopani już zmartwychwstańcy, kręcili się bezradnie w poszukiwaniu kompetentnej informacji. Większość ubrana w eleganckie garnitury trumienne i tekturowe lakierki: kobiety w długich, tu i ówdzie upstrzonych srebrnymi ozdobami sukniach. Dominowali staruszkowie, jednak trafiali się też młodzi, a nawet dzieci. Niektóre płakały głośno, wołając rozpaczliwie za nieobecnymi na ogół rodzicami.

Między alejkami jeździły jakieś pokraczne, drewniane wózki, popychane przez dziwnych, długowłosych osobników w białych koszulach nocnych. To właśnie z tych wózków, a raczej z zamontowanych na nich głośników, wydobywało się przeraźliwe, świdrujące wycie. Ponad wszystkim świeciło gorące,

najwyraźniej czerwcowe lub sądząc po roślinności, lipcowe słońce. Oceniał, że było po dziesiątej rano.

Zbliżył się ostrożnie do popychającego jazgotliwy wózek młodego, zarośniętego jegomościa o dziewczęcej, uduchowionej twarzy i przekrzykując decybele, zapytał;

– Jaki dziś mamy dzień?

– Dzień Chwały! – odpowiedział zagadnięty miękkim, mimo koniecznego natężenia głosu, tenorem, w charakterystyczny sposób wznosząc oczy ku bezchmurnemu niebu. I może było to złudzenie, ale wydawało się, że wypowiedzanym w tak podniosły sposób słowom, towarzyszy lekki pogłos, jakby mówiący znajdował się w obszernym kamiennym pomieszczeniu. Na przykład w kościele...

– To wiem, ale... no, czwartek, piątek..., rok?

– Zaprawdę, Dzień Chwały Dziewiąty.

Machnął ręką i jakoś wcale nie zaskoczony tą mało precyzyjną, acz przecież zasadnie uroczystą odpowiedzią, dał spokój kwestii daty. W końcu nie to jest najważniejsze. Zresztą złotowłosa, na oko dwudziestoletni, bezskrzydły cherub, zajęty był teraz zmianą kasety z wiadomym nagraniem.

Zgodnie z od niechcienia otrzymaną wskazówką, ruszył w kierunku mniej więcej południowym. Niebawem znalazł się w tłumie dążących mozolnie ku bramie cmentarnej, z jakiegoś powodu raczej przygaszonych, patrzących spode łba zmartwychwstańców.

Cóż – każdy pewnie dokonywał teraz w swym sercu błyskawicznego bilansu całego życia, przygotowując się z grubsza do tak cudownie spełnionego, niewątpliwie mającego nastąpić Sądu. Skory, popychany, przyciskany z każdej strony, zbliżał się powoli do obskurnego wyjścia.

Wewnątrz tej tysięcznej masy ludzkiej panował straszliwy trupi zaduch, z nieokreślonym ziemistym odcieniem. Poza oczywistym w

tej sytuacji niepokojem i do pewnego stopnia radosnym, mistycznym zadziwieniem, odczuwał też czysto fizjologiczną, przemożną chęć zapalenia, zgolenia Bóg wie ilu letniego zarostu i... oddania moczu.

Nie wiedział co ma zrobić, więc uśmiechnął się do najbliższego, deptającego mu nieostrożnie po piętach człowieka, jak i on, niesionego prądem tej geriatrycznej rzeki.

– Przepraszam bardzo, nie wie pan gdzie tu można... na stronę?

– Co?

– No wie pan... fizjologia, hm... pozagrobowa.

– Co?

– Chryste! Chciałem się odlać!

Tępy człeczyna skrzywił się z niesmakiem, wykonał szybko gest krzyża i odwrócił wzrok. Czyżby był szybszy i zanim wyszedł na powierzchnię zrobił to jeszcze w trumnie? Nic nie powiedział, po czym prąc co sił przed siebie, znikł w tłumie. Skory aż przystanął ze zdziwienia. O co mu chodziło? Rozejrzał się dokładnie i tym razem zagadnął rozsądnie wyglądającą, starszą panią, z także, o dziwo, pokaźną brodą i obwisłym nieco wąsikiem.

– Czy nie odczuwa pani chęci... zapalenia papieroska, madame?

– Ja... nie palę.

– Ach, przepraszam. Pani pozwoli... Skory – podjął podaną odruchowo, pomarszczoną dłoń i symbolicznie, ostrożnie, dotknął jej wargami.

– Miło mi. Kąkolewska.

Starsza pani nie miała ani jednego zęba, co powodowało, że jej uprzejmy uśmiech przypominał raczej nieopatrznie otwarty wylot rury kanalizacyjnej w trakcie remontu stareńkiej, rozsypującej

się kamienicy. Niezrażony Skory kontynuował konwersację.

– Co pani o tym sądzi?

– To? – wykonała głową nieokreślony gest, obejmujący swym znaczeniem wszystko wokół, a w każdym razie w zasięgu wzroku.

– No cóż, to chyba naturalne.

– Tak? – stropił się nieco. – A kiedy, jeśli można, szanowna pani... zeszła.

– Ach, ostatni dzień który pamiętam to dwudziesty marca, dziewiętnastego.

– Dziewiętnastego?

– Tysiąc dziewięćset dziewiętnastego.

– O kur...! – Skory zrobił duże oczy. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. A pan?

– Ja... przypuszczalnie dwa tysiące czwartego.

– O! – tym razem starsza pani była zdziwiona. – To duża różnica.

– Tak – stwierdził krótko i rozmowa chwilowo ustała. Zresztą szacowna madame najwyraźniej była zawstydzona swoim wyglądem, z którego, mimo zapewne naturalnego w tej sytuacji braku lusterka, zdawała sobie jakoś sprawę. Mimo okoliczności, była przecież kobietą.

Tymczasem w ostrym, trupim zaduchu, narastającym upale, zbliżali się do wyjścia. Tu, jak się okazało, funkcjonowało coś w rodzaju urzędowej portierni. Każdy wychodzący otrzymywał skromny zestaw dokumentów, robiono zdjęcia, zdejmowano odciski palców. Wręczano komplet bonów żywieniowych i niewielką kwotę obowiązującej waluty. Wykonywano też podstawowe badania oraz szczepienia ochronne. Zmęczeni, gburowaci urzędnicy, wypełniali pracownicy właściwe kwity, po czym prawidłowo

zaksięgowany redivivus wychodził poza obręb cmentarza. Na nowy, nieznany, acz zapewne cudowny świat Sądu Ostatecznego. Nic dziwnego, iż kolejka oczekujących rosła nieustannie.

Obdarowany kilkoma papierkami, pokłuty zastrzykami i zmaltretowany Skory wydostał się wreszcie poza bramę. Na zewnątrz było jeszcze gorzej. Potworny, stęchły tłum, wypełniał bez reszty przycmentarny skwer i przyległe uliczki. Większość czekała karnie w kilku kłębiących się kolejkach do naprędce zbitej z sosnowych, nieheblowanych desek latryny. Niektórzy jednak, mniej powściągliwi, folgowali sobie wśród okolicznych krzaków. Kobiety, rzecz jasna, były w trochę gorszej sytuacji, jednak i one musiały sobie jakoś mniej lub bardziej dyskretnie radzić.

Kilkadziesiąt metrów dalej przygrywała fałszywie orkiestra dęta w podstawowym, minimalnym składzie, serwując w kółko „Ave Maria” i „My chcemy Boga”. Nad całym tym gwarным kłębowskiem ludzkim unosił się przykry, tłumiący wszystkie inne, równie charakterystyczne zapachy, odór uryny, a między nogami cudownie ożywionych przemykały setki zapchlonych psów przeróżnej maści, ujadając zawzięcie i zawodząc. Nastrój nie był zbyt podniosły.

Skory nigdy nie miał kłopotów z uszczelkami, więc szybkim krokiem wydostał się spośród największej ciżby i przebywszy kilkaset metrów znalazł nie okupowaną jeszcze bramę. Tam, w chłodzie kamiennego podwórka, ulżył sobie spokojnie pod ceglana ścianą jakiegoś ogrodzenia. Już miał zamiar oddalić się z miejsca swej niestosowności, gdy usłyszał skrzeczący, najwyraźniej w jego stronę skierowany okrzyk.

– Te, zdechłak. Nie masz kurde gdzie lać?

W otwartym oknie pierwszego piętra stał starszy, może sześćdziesięcioletni mężczyzna w brudnym podkoszulku. Część chudej, pomarszczonej twarzy pokrywała mu zeschnięta piana. W prawej ręce trzymał otwartą, staromodną brzytwę, którą teraz

wymachiwał groźnie ku chłodnemu podwórku.

– Ano nie mam – odpowiedział spokojnie Skory i dopiął wreszcie oporny rozporek.

– A chcesz kurde w mordę? – starszy jegomość, jako najwyraźniej wytrawny, doświadczony ulicznik, zareagował całkowicie prawidłowo, jednak jakoś tak... bez przekonania. W końcu nie skończył jeszcze golenia.

– Chcę! – odkrzyknął natychmiast Skory, który też z niejednego pieca chleb jadał.

– To zaczekaj chwilę – odgryzł się groźnie stary i znikł za brudną firanką.

Skory popatrzył w gorejące niebo, westchnął cicho i zdjął uciążliwą, niestosowną w tym upale marynarkę. Pod oknami stała podłużna ławeczka, więc usiadł na niej, rozglądając się uważnie po zabudowaniach.

Było to typowe w jego czasach, podmiejskie, lumpenproletariackie podwórko. Przyuliczna, trzypiętrowa, ponura kamienica z centralną bramą, dwie jeszcze bardziej obskurne oficyny, jakieś parterowe komórki i kawałek miniaturowego, zapuszczonego ogródka. Całość oddzielona czerwonym niegdyś murem od najpewniej podobnych zabudowań sąsiednich. Ani jednego drzewa, choć na wysokości trzech metrów pętliły się malowniczo we wszystkie możliwe strony żałosne witki postrzępionych przewodów elektrycznych, łączących bezsensownie brudne budynki.

Mimo to było tu przytulnie i jakoś tak kameralnie, przyjemnie. Może to kwestia wyraźnie ograniczonej zabudowaniami przestrzeni, optymalnej wymiarowo – ani za dużej, ani za małej? W końcu po tylu latach leżenia w ciasnym, drewnianym pudle, otwarta przestrzeń byłaby nie do zniesienia. Przynajmniej przez jakiś czas.

Po dłuższej chwili usłyszał skrzypienie drewnianych schodów. Z odrapanej klatki wejściowej wychynął powoli krewki staruszek, ogolony już i ubrany w jakiś przedziwnej konstrukcji sweter z ponaszywanymi kieszeniami. Ku zaskoczeniu Skorego, trzymał w prawej ręce małą butelkę i kilka kromek razowego chleba, a w lewej kieliszki oraz metalową bańkę.

– Cześć kolego – powiedział obojętnie i usiadł obok na ławeczce. – Gorąco dzisiaj.

Skory uśmiechnął się w myśli stwierdziwszy, iż sposoby rozpoczynania konwersacji nie zmieniają się pewnie od tysiącleci. Początkowe wtręty pogodowe obowiązują niezależnie od sytuacji, w każdych, najdziwniejszych nawet okolicznościach.

– Rzeczywiście – przyznał, a dla potwierdzenia tego, co mówi, podwinął rękawy swojej białej, ceremonialnej głównie koszuli. Gest ten mógł wyglądać dwuznacznie, jednak w tym wypadku nie oznaczał przecież rytualnych przygotowań do mających się za chwilę rozegrać rękoczynów. Tym bardziej w obliczu tak interesującego bagażu, jakim obładowany był świeżo ogolony człowiek.

Gospodarz rozstawił barowe przybory na ławeczce między nimi, odbił fachowo butelkę i precyzyjnie napełnił kieliszki. Kiwnąwszy znacząco głową, podał Skoremu kromkę chleba. Wypili w milczeniu przegryzając maleńkimi kęsami. Zrobiło się całkiem przyjemnie, a dla dopełnienia szczęścia, szczodry fundator wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów, częstując spragnionego nikotyny gościa. Zapalili, po czym, jak na komendę, rozprostowali z ulgą umęczone nogi. Dochodziło gorące południe.

– Czemu jesteś kurde taki szybki? – zagadnął stary po dłuższej chwili wspólnego delektowania się tym cichym spokojem.

– Jak to? – Skory nie rozumiał.

- Miałeś być dopiero jutro.
- Nic o tym nie wiem – zdziwił się Skory.
- Ale kurde dziadostwo! – stary pokręcił z dezaprobatą głową i ponownie fachowo napełnił kieliszki. – Umarłeś e... czwartego?
- Tak...
- Skory Wacław?
- Znasz mnie?
- Pewnie – stary opróżnił kieliszek. – Wypij i... kurde, mów mi Lutek.

Skory z przyjemnością przełknął następną porcję alkoholu. Odprężył się już całkowicie. Podświadomie czuł, iż jest we właściwym miejscu i rozmawia z właściwym, choć trochę może dziwnym człowiekiem. To nic, że nieco wcześniej.

– Wacek – przedstawił się oficjalnie. Uścisnęli sobie żylaste dłonie.

Lutek popatrzył na niego uważnie, obejrzał czarny, okazjonalny i w gruncie rzeczy niezbyt wygodny, a zwłaszcza nietrwały, tani strój, i jakby oklapł.

- Masz te cholerne papiery? – mruknął w końcu pytająco.
- Mam – Skory wyciągnął dopiero co otrzymane dokumenty i podał staremu. Ten założył rozsypujące się okulary, po czym zaczął uważnie studiować urzędowe karteluszkę. – Zgadza się!
- Co się zgadza?
- Jestem twoim nowym prowadzącym. Ojcem i matką.
- Kim?
- No tak. Twój poprzedni e... Anioł Stróż nie sprawdził się, i teraz pewnie popycha jeden z tych wrednych wózków. De...

gradacja kurde, he, he.

– Za co?

– Nie wiem na pewno, ale chyba wbrew ustaleniom dopuścił do twego przedwczesnego, no... zgonu.

Skory zazwyczaj kojarzył dość szybko, więc miał już jaki taki obraz sytuacji. Jednak kilka szczegółów wymagało wyjaśnienia. Postanowił to zrobić, zakładając optymistycznie, że rozmawia z osobą kompetentną, skłoną przy tym do rozmowy.

– Powiedz mi Lutek, jaki mamy rok?

– Dzień Chwały Dzie... , tfu, nie o to ci chyba chodzi?

– Nie.

– Według starej rachuby, dwa tysiące osiemnasty. Drugi lipca.

Leżał więc w ziemi czternaście lat. To chyba niewiele w porównaniu z ową dystygowaną, starszą panią. Pomyślał o żonie i synu, odwiedzających go w jego ostatnich, upokarzających, pełnych cierpienia peregrynacjach szpitalnych.

– A ty kiedy... no wiesz?

– Co ty! – Lutek zaperzył się wyraźnie. – Ja kurde jeszcze żyję, dzięki Bogu.

No tak. To chyba też do pewnego stopnia logiczne. W końcu Pismo nie wspomina nic o konieczności utrupienia egzystujących jeszcze w Dniach Ostatecznych. Sądzeni mają być żywi i umarli, po równo, sprawiedliwie. Jakoś tylko nie przypomina sobie wielkich trzęsień ziemi, wojen, moru, czy podobnych, ponurych wydarzeń, zwiastowanych szczodrze na szacownych łamach. Czternaście lat to chyba za mało dla realizacji tych wszystkich okropności.

– Czy... , czy po czwartym była jakaś... apokalipsa, zaraza lub wojna?

– Jaka wojna?

– No... , światowa na przykład?

– Nie. Kogo dziś kurde na to stać? – Lutek ponownie spełnił barmański obowiązek, przy czym okazało się, iż tajemnicza bańka którą trzymał dotąd pod ławką, także zawiera alkohol, najwyraźniej własnej produkcji, z tym, że o niebo lepszy niż ten w firmowej butelce. – Przecież już w dziesiątym, wszystko zżarła kosmiczna bieda, bezrobocie, uwiąd państwa. Nie pamiętasz kurde początków?

– Pamiętam, pamiętam – Skory pokiwał smętnie głową.

Ciekawe. Ogólnie biorąc, jedną z naturalnych przyczyn wielkich wojen i przesileń zawsze były bieda, bezrobocie, przeludnienie. Skutecznie zresztą przez te wojny likwidowane. Chyba, że zadziałał tu narastający od dziesięcioleci, skrajnie konsumpcyjny styl życia, zanik wszelkich autorytetów, ogólny nihilizm, tumiwizizm, powszechna, do fanatyzmu komercja, seks. Cóż, nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre. Poza tym rzeczywiście, każda wojna kosztuje, szczególnie zwycięska.

– Nie martw się Wacek – Lutek był już całkiem ładnie zaróżowiony i mówił trochę niewyraźnie. – Będzie dobrze. A gdy przyjdzie czas twojej e... rozprawy, zorientujesz się ostatecznie i... kurde raz na zawsze. Heła!

Tu wydarł się niespodziewanie w kierunku swojego okna, w którym po chwili ukazała się tęga, starsza kobieta, okryta głównie ceratowym fartuchem kuchennym, trzymająca w ręku duży, błyszczący w słońcu nóż.

– Czego? – zakrzyknęła rzeczowo.

– Skończyłaś?

– Nie! – padła równie obszerna odpowiedź i potężna kobieta znikła w czerni pokoju.

– To kurde moja stara – zawiadomił dumnie Lutek. – Przygotowuje co trzeba. A teraz pokaż ile wam dają absolutów.

– Czego?

– No, pieniędzy.

Skory wyjął z kieszeni plastikową kopertę otrzymaną przy wyjściu z cmentarza, zawierającą kilka kolorowych, nowiutkich banknotów. Rzeczywiście. Na awersie każdego z nich widniała złota, bogato zdobiona korona w otoczeniu fruwających aniołków, dmuchających w długie, srebrne trąbki. Na rewersie dumnie dominował różowutki napis „Alleluja – Dwadzieścia Absolutów”, numer seryjny i oczywista w tych warunkach sentencja; – „Jam jest Alfa i Omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec”. Znaku wodnego nie było.

– Nawet ładne – stwierdził po dokładnym obejrzeniu.

– Kwestia gustu... – mruknął Lutek i odebrawszy mu kopertę, przeliczył pieniądze.

– No i... ?

– To kurde złodzieje! – stary splunął serdecznie obok ławki. – Jest tylko dwieście absolutów. A mieli dawać tysiąc. Masz jakieś drobne?

– Drobne?

– Amen, monety, jedna setna absolutu?

– Nie.

– Cwana banda! – Lutek zwinął banknoty i schował je do kieszeni spodni. – Dobra. Ja trzymam kasę.

– No, no... – Skory delikatnie wyraził pewną wątpliwość.

– Nic się kurde nie martw – Lutek rozsiadł się wygodniej. – Od tej chwili jesteś pod moją opieką, zamieszkas u mnie i to ja,

jak przyjdzie czas tego pieprzonego procesu, doprowadzę cię przed oblicze... Pójdziemy zaraz na górę, gdzie obmyjesz ten trupi smród i gdzie pokażę ci całą twoją cholerną dokumentację. Poznasz moją babę.

Jednak siedzieli jeszcze na wąskiej ławeczce aż do wieczora, aż do całkowitego zużycia zawartości pojemnej bańki. Wieczorny, widoczny na niebie tylko w świetle zachodzącego słońca ogromny napis „Spoczywajcie w pokoju”, widzieli jedynie przez chwilę, gdy akurat podnosili do ust kolejny kieliszek. Na górę weszli oddzielnie, przy każdorazowej, koniecznej a wydatnej pomocy Heli Żelazko, Lutkowej starej.

Dziewiąty Dzień Chwały dobiegał końca.

* * *

– Chryste Panie! Ja już nie mogę!

Trzydziestoletni z wyglądu mężczyzna, siedzący za biurkiem, oparł się łokciami o blat i ukrył bladą, wymiętą twarz w dłoniach. W wymalowanym pośpiesznie na różowo pokoju, umeblowanym skromnie w niezbędne sprzęty kancelaryjne, znajdowały się trzy osoby – ów wyrzekający, wykończony brakiem snu osobnik ubrany w przepisowy, zielonkawy habit z przypiętą po lewej stronie plakietką uprawnionego błogosławionego, około dwudziestoletni złotowłosy łącznik w białej, długiej szacie z archanielskimi naszywkami i niezwykle chuda, brzydka sekretarka, pochylona nieruchomo nad ogromną maszyną do pisania. Wokół piętrzyły się stosy powiązanych w paczki tekturowych teczek, zawierających wszelkie niezbędne dokumenty osobowe.

Spoza drzwi, z korytarza, dochodził niemiłkący gwar kłębiących się w ogromnych kolejkach grzeszników, a zwłaszcza ich skądinąd słuszne i głośnie narzekania. Mimo porozwieszanych wszędzie plakatów, dodatkowych kartek z niezbędnymi wyjaśnieniami, mimo całodobowej pracy aż dwóch, usytuowanych na parterze punktów informacyjnych, większość

zmarłychwstańców biegała od pokoju do pokoju, wypytując, potwierdzając, a nade wszystko szczerze i głośno pomstując. Bałagan był totalny.

– Rozumiem cię synu – złotowłosey dostojnik niebieski miał przyjemny, śpiewny głos, wzbogacony o wyraźny efekt echa, jaki tak chętnie stosuje się w estradowych produkcjach artystycznych. – Jednak to przecież dopiero początek. My też się uczymy... ymy... my.

– Tak, Besale, ale ja już nie spałem cztery doby – Błogosławiony, pełniący tutaj odpowiedzialną funkcję sędziego wstępnego, zrezygnowanym ruchem zdjął z łysiejacej głowy źle dopasowane, uwierające go insygnia laurowe, które ostrożnie położył na biurku. – Nie jestem tak jak ty aniołem, muszę odpocząć, wykąpać się, wyspać. Żona się zamartwia i wydzwania co chwilę. Pani Krysia również ma dość, prawda?

Brzydka sekretarka otworzyła na chwilę opuchnięte powieki, spojrzała tęsknie w różowiutki sufit i bez przekonania kiwnęła głową.

– Owsem, sefie – ledwie wydobyła z siebie tych kilka płaczliwie brzmiących, sepleniących głosek. – Jestem głodna.

– No właśnie, Besale – Błogosławiony rozłożył ręce. – Musimy zrobić przerwę.

Anioł był w kropce. Sam widział cały ten narastający bałagan, te tysiące zdeorientowanych, skołowanych zmarłychwstańców, tę paranoiczną niewydolność Urzędu. Jednak wszystko jak dotąd przebiegało zgodnie z wytycznymi, zgodnie z Planem. Cóż... Plan, rzecz jasna nie musiał być koniecznie przemyślany do końca, ale to zawsze Plan i nie on będzie go kwestionować.

– Dobrze... – odpowiedział po chwili namysłu. – Zaprawdę, złożę raport i zobaczymy.

Wstał z krzesła. Sędzia wstępny, błogosławiony jeszcze za

życia, były księgowy Walczak i pani Krysia, uklęknęli, po czym złożąwszy ręce jak do modlitwy, zaczęli wpatrywać się w wyprostowanego, słusznego wzrostu Besała. Ten, po kilku sekundach ciszy, zajaśniał cały błękitnym, łagodnym światłem, a skromny pokój biurowy napełnił się intensywnym, odświeżającym zapachem kwitnącego jaśminu. Łączność z Kierownictwem Sekcji została nawiązana.

Po chwili złotowłosa oklapł lekko, przeżegnał się szybko i ponownie usiadł. Kojąca jasność zbrązowiała, by w końcu zgasnąć całkowicie.

– No i co? – spytał zaniepokojony błogosławiony, otrzepując kurz z habitu ubrudzonego klęceniem na zakurzonej podłodze.

– Zaprawdę ciężko było, ale... w porządku – Besale wydawał się zadowolony. – Załatwimy jeszcze dwóch petentów i... – tu żartobliwie zawiesił głos.

– No...? – pani Krysia nie mogła się opanować.

– Pięć dni wolnego. Część petentów przejmie Urząd Dzielnicowy – Besale powiedział to cichym, niby obojętnym tonem, jednak zrobił przy tym teatralnie dumną minę i skromnie, anielsko uroczo, skierował uradowany wzrok w górny róg pokoju. Wszyscy troje roześmieli się swobodnie.

– Wspaniale! – zakrzyknął błogosławiony. – Pani Krysiu, trzy kawy kochana proszę! – zarządził ochoczo.

Nastrój wyraźnie się poprawił. Gdy po chwili w trójkę popijali świeżutką, gorącą kawę, przygotowując się do ostatnich dziś czynności urzędowych, ucieszony takim obrotem sprawy Walczak nieoczekiwanie otworzył dolną szufladę biurka i mrugnąwszy filuternie na Besała, wyciągnął stamtąd maleńką bombonierkę, wypełnioną jeszcze do połowy gustownie uformowanymi, ciemnobrązowymi czekoladkami porterowymi.

– Po jednym?

Anioł spojrzał na smakowite, nasycone słodkim, niskoprocentowym likworem kostki i... zrobił się czerwony na młodzieńczej, gładko wygolonej twarzy.

– Ależ... co wy? – najwyraźniej zawstydzony odwrócił wzrok.

– No, bądźcie człowiekiem! – nalegał Błogosławiony. – W imię Boże.

W pokoju zaległa niezręczna cisza. Pani Krysia, wieloletnia pracownica wszelakich instytucji i urzędów, przyzwyczajona była do najprzeróżniejszych, alkoholowych figielków swoich przełożonych, jednak teraz, w Dziesiątym Dniu Chwały i w tym Urzędzie, tamte doświadczenia nabierały innego znaczenia. A w każdym razie powinny. Nawet w odniesieniu do tak niewinnej porcyjki.

– A niech tam – mruknął zawstydzony ciągle jak panienka anioł.
– W końcu pracujemy razem, no i... ta okazja.

Błogosławiony ostrożnie poczęstował anielskiego łącznika i sekretarkę, po czym demonstracyjnie podniósł do ust własną czekoladkę.

– No to... na Chwałę Pana! – sprecyzował.

Besale wyciągnął rękę i już, już miał uczynić to samo, jednak wstrzymał się gwałtownie, popatrując niepewnie po zawałonym papierami pokoju.

– Tylko... rozumiecie, że to... nic nie znaczy – zastrzegł się cicho.

Ciekawa rzecz – im ciszej mówił anioł, tym wyraźniejsze było towarzyszące jego słowom echo, a ściślej, jego procentowa zawartość w stosunku do głosu normalnego. Sprawiało to dziwne wrażenie, jakby mówiący dostojnik oddalał się gdzieś w tajemniczą przestrzeń, być może w zaświaty...

– Oczywiście, oczywiście! – Błogosławiony i pani Krysia

wypowiedzieli to jedynie właściwe w tej sytuacji słówko jednocześnie. Nie było już żadnych przeszkód, więc wszyscy szybko spełnili symboliczny, czekoladkowy toast. Kolorowa bombonierka błyskawicznie znikła wśród przepastnych wnętrzości wypełnionego dokumentami biurka. Wszak czekała jeszcze praca, jakże zaszczytny, ostateczny obowiązek. Pani Krysia bezzwłocznie sięgnęła na niepewnie stojący stos i podała Walczakowi pierwszą z wierzchu teczkę, czekając skromnie na decyzję.

– Niech wchodzi – zgodził się błogosławiony po chwili, przerzuciwszy kilka kartek.

Sekretarka otworzyła odrobinę drzwi, i wystawiwszy przez nie głowę, wrzasnęła na zewnątrz, przekrzykując korytarzowy tumult; – Cterysta tsydzieści ctery!

W zatłoczonym pomieszczeniu zrobił się ruch. – Ile, ile? – dopytywali się ci stojący dalej, nie obeznani jeszcze z wdzięczną wadą wymowy urzędniczki. Większość z kolejkowiczów wyciągała swoje karteczki i sprawdzała pilnie jeszcze raz, po czym zrezygnowana, chowała z powrotem. Najwyraźniej nikt z obecnych nie był oznaczony tą liczbą.

– Znowu jakiś ateista! – oburzona do żywego sekretarka odwróciła się w stronę pokoju.

– To następny. I jeszcze raz pani przypominam, że prawdziwych ateistów nie obsługujemy. Ci pozostaną w gruncie na wieki – Błogosławiony ponownie, niejako automatycznie, poczuł się nadzwyczaj zde gustowany. Nie wszystko szło jak trzeba, jak było zaplanowane – Sami widzicie jak tu można pracować. – spojrzał z wyrzutem na niebieskiego przedstawiciela. Zamknął teczkę i energicznie przyłożył z wierzchu ogromną pieczętę „DOPROWADZIĆ PRZYMUSOWO w dniu; ...”, a następnie wpisał właściwą datę.

Czterysta trzydzieści pięć okazała się drobną staruszką, ubraną w granatową, długą suknię, białe, bawełniane pończoski

i złote buciki. Na głowie miała pognieciony kapelusik ze zwiniętą teraz woalką, przystrojony pojedynczą, zeszlą na węgiel chryzantemą. Stała niepewnie pośrodku pokoju, mnąc w rękę długie, przybrudzone nieco, ażurowe rękawiczki.

– Nazwisko? – zapytał urzędowo, bezosobowo, błogosławiony, otwierając teczkę z kolejnym numerem.

– Kostrzewa, z domu Jarosz – odpowiedziała zaskakująco wyraziście i pewnie. – A pańskie, młody, źle wychowany człowieku?

Błogosławiony zerknął szybko w dokumenty, po czym sprężyście wstał zza biurka i po wojskowemu strzelił obcasami. Ściślejsze, służbowymi, przydziałowymi drewniakami, nadzwyczaj nadającymi się do takich rzeczy.

– Przepraszam najmocniej pułkownikowo. Pani pozwoli – Walczak Zdzisław, Błogosławiony drugiej kategorii, z Upoważnienia Pełnomocny, Dyplomowany Sędzia Wstępny. – przedstawił się uroczyście. – Proszę łaskawie spocz..., hm..., usiąść.

– In..., in..., insss... – usłyszał nagle spod okna dziwny, podbudowany echem syk i odruchowo odwrócił głowę.

Na brudnej podłodze siedział Besal i kiwając się dziwnie, pokazywał na zapomniane laury, leżące bezwstydnie na biurku. Na szczęście, jako nadzorujący incognito, nie był widoczny dla podsądnych.

Walczak, zdziwiony nieco tak silną reakcją niebieskiego przedstawiciela na tę odrobinę zażytego przed chwilą czekoladkowego rumu, założył szybko porzucone chwilowo insygnia i z całym już urzędowym majestatem podstawiał staruszcze krzesło.

– A więc? – spytała rezolutnie drobna kobiecina, usiadłszy ostrożnie. Dziwna sprawa – całe jej marne ciało, cała postać, emanowały zakłopotaniem, niepewnością, nieporadnością,

natomiast wzrok, przenikliwe spojrzenie i pewny, rzeczowy ton głosu, wyrażały zdecydowanie oraz jasną stanowczość. Rodzaj samoobrony – pomyślał błogosławiony, po czym przystąpił do standardowej procedury wstępnej.

– Wypełniła pani kwestionariusz RS – 1?

– Nie rozumiem, młodzieńcze.

– Pytam, czy ma pani wypełniony Rachunek Sumienia.

– Ach tak. Proszę bardzo – sięgnęła szybko do małej torebki i podała mu żółty, poczwórnice złożony karteluszek z mnóstwem rubryk.

– Świetnie. I cóż tu mamy? – zaczął uważnie studiować dokument, następnie wyjął z szuflady kalkulator by precyzyjnie podliczyć punkty.

Staruszka patrzyła ciekawie na małe, kolorowe urządzone i w końcu nie wytrzymała.

– Cóż pan tam kochany robi?

– Sumuję pani punkty.

– To pojmuję, ale na Boga... czym, jak?

– Ach to? To zwykły kalkulator – jeszcze raz spojrzął w dokumenty petentki. – Takie zmyślne ustrojstwo do liczenia. Coś znacznie lepszego niż..., niż abakus.

– Rozumiem i... dziękuję.

Po chwili miał już pełny obraz sytuacji. Rozstrzygnięcia wymagała tylko jedna drobna, niezbyt jednak przyjemna sprawa.

– Szanowna pani wybaczy, lecz musimy to wyjaśnić. Pamięta pani zapewne dzień, gdy świętej pamięci małżonek pani, pułkownik e..., Kostrzewa, wrócił niespodzianie z ćwiczeń i ciężko ranił szablą porucznika Rokosza, zastawszy go w pani hm... buduarze?

– Owszem – odpowiedziała swobodnie, nieco jednak zaskoczona, staruszka. – Kostrzewa zawsze był raptus.

– A więc, w związku z powyższym, a także w obliczu późniejszych, równie niewłaściwych okoliczności, zadaję teraz pani urzędowe pytanie; – czy dzieci państwa, mianowicie synowie Karol, Edward oraz córka Ewelina, to także dzieci pułkownika Kostrzewy? I proszę mówić prawdę, ponieważ i tak znam odpowiedź.

– W takim razie po cóż pan pyta, monsieur? – staruszka nawet nie mrugnęła okiem.

– Przypominam, iż jesteśmy w Urzędzie, gdzie poddawana jest pani właśnie oficjalnej procedurze wstępnej. To coś jeszcze gorszego niż... niż... urząd skarbowy.

Staruszka tym razem spuściła z tonu. To rzeczywiście był argument. W dodatku ponadczasowy. Spojrzała żałośnie na brzydką, obojętną sekretarkę, westchnęła ciężko, po czym z bystrych oczu puściły się jej łzy. Zapłakała cicho i chlipiąc powiedziała krótko;

– Nie.

– Co, nie!? – Błogosławiony żądał jasnych odpowiedzi.

– To nie są jego dzieci.

– Więc czyje? Proszę podać nazwiska.

Lekkomyślna, starsza teraz niestety dama, ponownie pogrzebała w torebce, wyjęła z niej śnieżnobiałą chusteczkę, którą otarła niesforne, oczy. Jeszcze raz westchnęła, po czym z niejakim zażenowaniem, cicho, zaczęła wyliczać; – Karol jest, był, synem porucznika Rokosza, Edward kapitana Mostowicza, a Ewelinka... córką... tego..., tego zwierza, szofera Stefana. Boże wybac.

– Ku...kurwa... urwa... rwa... a – dobiegło spod okna.

Błogosławiony ponownie odwrócił się w tę stronę i zobaczył całkiem już leżącego na podłodze Besała, który nieporadnie szykował się do spania. Machnął ręką, po czym powrócił do kończącej się procedury.

– W tej sytuacji, biorąc zwłaszcza pod uwagę wielokrotne, uporczywe łamanie postów, a także nieuzasadnione wzywanie Jego imienia, kieruję panią na drugie piętro, do pokoju dwieście cztery. – tym razem głos błogosławionego brzmiał nadzwyczaj surowo, służbowo. – Zgłosi się tam pani e... osiemdziesiątego Dnia Chwały, przed południem. Pani Krysiu, proszę wypisać skierowanie. Dziękuję madame.

Zapłakana już na dobre, wystraszona nie na żarty uroczystym tonem staruszka, siedziała na niewygodnym krześle ze spuszczoną, siwą głową. Po kilku sekundach ciężkiego walenia w oporne klawisze, pani Krysia wstała od maszyny i podała szefowi wypełniony świstek. – Proszę sefie. – powiedziała przymilnie.

Sędzia wstępny, regulaminowo stukając drewniakami, wręczył petentce świeżutkie, właśnie zdjęte z maszyny fatalne skierowanie, następnie uprzejmie acz stanowczo, wyprowadził na korytarz. Na dzisiaj pozostał już tylko jeden interesant, ale to wyłącznie kwestia jakichś dwudziestu minut. Tyle przecież jeszcze wytrzyma. A potem słodkie pięć dni wolnego, pięć dni z żoną i niewidzianymi szmat czasu dziećmi. Może wybiorą się do teściów?

Spod okna, z podłogi, dobiegało ciche, monotonne chrapanie, w takt jakiejś kojącej, ledwie uchwytniej muzyki organowej, rozbrzmiewającej nie wiadomo skąd.

* * *

Jak przewidywał, Lutek Żelazko przepił całe dwieście absolutów w ciągu zaledwie trzech dni. Oczywiście nie sam. Skory też miał w tym swój znaczący udział, a i małomówna, gruba Lutkowa wcale sobie nie żałowała. Cóż – zapewne są to konieczne koszta

towarzyskie nowych, trzeba przyznać, interesujących znajomości. Nigdy od nich nie stronił, i zawsze, mimo czasem ciężkich doświadczeń, starał się okazywać dobrą wolę. Przynajmniej na początku. Na szczęście pozostałe osiemset trzymał przezornie porozmieszczane w różnych częściach swojej jedynej garderoby. Nauczony doświadczeniem, zrobił to zaraz po wyjściu z cmentarza, zanim ulżył sobie na Lutkowym podwórku. Pozostały mu też kartki żywnościowe, które można było zrealizować wyłącznie osobiście w wyznaczonych barach. Stał teraz głodny, wstrząsany straszliwym kacem w długiej kolejce do zamkniętej jeszcze, darmowej garkuchni. Lutek, jego oficjalny opiekun, poszedł w miasto szukać jakichś znajomości mających pomóc w przyśpieszeniu terminu procesu wstępnego, odłożonego z powodu nieprzewidzianego nawału podsądnych. Do Dnia Chwały Sto Sześćdziesiątego. Przeszło pół roku.

Nareszcie otworzyli.

Wygłodzeni kolejkowicze rzucili się bezładnie do drzwi i cały, jaki taki porządek diabli wzięli. Co zwinniejsi, silniejsi, znaleźli się teraz w czołówce, wyciągając do zaspanej rejestratorki swoje kartki.

Dzisiaj był wybór – pomidorowa z ryżem, pieczarki w sosie chrzanowym, barszcz czerwony, i standardowo manna niebieska, która jednak, głównie z uwagi na mydlany smak, nie cieszyła się wielkim powodzeniem. Na deser kubek odtłuszczonego dokumentnie mleka, lub puszka napoju jabłkowego. Pełna wegetariańska, urzędowa ohyda, choć trzeba przyznać swojska, narodowa. Poza, rzecz jasna, uniwersalną, międzynarodową manną. Bezpłatna, pitna woda gazowana, święcona centralnie w ogrodach Pańskich, stała w ogromnych, plastikowych baniakach. Dopchał się wreszcie do nadąsanej blondyny i podał swoje bony.

– Dlaczego pan nie wykorzystał tylu kartek? – spoza szybki padło ostre, podejrzliwe pytanie.

– No cóż... nie byłem głodny – Skory przybrał zrezygnowaną,

umęczoną minę i rzeczywiście tak się dziś rano czuł.

– No, no. Tak nie wolno! – blondyna zapisywała coś szybko na podanych druczkach. – Teraz może pan zjeść dwie porcje, ale każda następna trzydniowa przerwa eliminuje pana z systemu. Zrozumiano?

– Tak jest kierowniczko! – odebrał resztę swoich kartek, podwójne zlecenie na pomidorówkę i przeszedł do następnego, oprawnego w aluminiową złoconą ramę okienka, z odręcznie, acz nieporadnie, wykaligrafowaną zielonym flamastrem sentencją; – „Przyjdźcie, a będziecie nakarmieni”. Tutaj królował młodziutki, złotowłosy anioł – uśmiechając się łagodnie, odbierał barowe zlecenia, a w zamian podawał zgłodniałym zmartwychwstańcom parujące talerze i plastikowe kubki pełne mleka. Łyżki pobierało się z pojemnika obok.

– O, dwie porcje – zdziwił się nieco i spojrzał na Skorego. – Zasługujesz, synu... ynu... nu... u?

Skory pierwszy raz widział takie spojrzenie. Była to czysta emanacja miłości, dobroci, połączona wszakże z pełnym wyrazu, zrezygnowanym zwątpieniem i jakąś... matczyną wyrozumiałością. Jasnoniebieskie, dziewczęce oczy cheruba tliły się delikatnym, wewnętrznym światłem, przenikając wszystkowidząco i współczująco do głębi.

– Być może... nie – zmieszał się nieco. – Jednak jestem... piekie..., bardzo głodny.

– Przez cierpienie do wieczności... ości... ci. – powiedział anioł trochę bez sensu, jednak podał Skoremu rzeczywiście podwójne, gorące porcje. Już na koniec, robiąc sakramentalny znak krzyża, mrugnął porozumiewawczo lewym okiem i położył na tacę dwie dodatkowe kromki chleba.

– Z Panem – dorzucił znacząco.

– Z panem, to znaczy z ... tobą, tfu... – obładowany tacą Skory

nie bardzo wiedział co odpowiedzieć, wziął więc szybko łyżkę i odwróciwszy się rozpaczliwie, całkowicie zdeprymowany, poszedł z gorącym bagażem w głąb sali. Znalazł wolne miejsce przy chybotliwym, metalowym stoliku, gdzie natychmiast zabrał się do jedzenia.

Jeżeli zwykły, szeregowy anioł – myślał, przełykając kolejną porcję gorącej pomidorówki – zatrudniony w podrzędnym, obskurnym barze, potrafi tak patrzeć, to co dopiero mówić o wyższych rangą? Lub o... Nim? Przeszły go ciarki. Zjadł wszystko błyskawicznie, otarł usta małą, papierową serwetką, i odniósł puste naczynia do zmywania. Jako tako najedzony, wyraźnie w lepszej kondycji, wyszedł czym prędzej na ulicę, niezmiennie, od kilkunastu dni słoneczną. Kac szybko mijał.

Wokół przewalały się niezmierzone tłumy najdziwniejszych ludzi. Chodnikami płynęła wolno zdumiewająca ciżba, podczas gdy po jezdni śmigały w obie strony szybkie, kolorowe samochody urzędników różnych szczebli. Co jakiś czas przemknął zatłoczony tramwaj, iskrząc na zakręcie skrzypiącym, chybotliwym pantografem.

Status społeczny poszczególnych zmartwychwstańców, oraz epoka, czasy w których zmarli, były aż nadto widoczne. Spora część ubrana w zwyczajowe, ciemne garnitury i tekturowe, rozsypujące się teraz lakierki. To ludzie jako tako sytuowani, stosunkowo współcześni, góra sprzed dwustu, trzystu lat. Duża ilość osób, przynależna do wieku może siedemnastego, osiemnastego, obnosiła się z czymś bardziej kolorowym, choć niekoniecznie wyszukanym.

Dominowały jednak mundury wojskowe wszystkich czasów, wszystkich rodzajów broni, oraz jednolite, brzydkie stroje urzędowe, to znaczy przydzielane przez administrację zaraz po powstaniu z grobu. Coś w rodzaju szarych worów, wykonanych z nieprzemakalnej, ciężkiej tkaniny, absolutnie wykluczających wszelkie zgorszenie. Najwyraźniej ludzie ci byli pochowani nago – nędzarze, chłopci pańszczyźniani, polegli, ograbieni z

wszystkiego żołnierze, jaskiniowcy, przestępcy?

Człapali wolno chodnikami, rozglądając się niepewnie wokół, patrząc z przestraciem na wysokie, przeszklone budynki, ruchliwą jezdnię, pocierając w zdumieniu skołowaciałe, niskie czoła. Były też grupki poważnych, smutnych dzieci w różnym wieku, prowadzonych przez złotowłosych cherubów, wyjaśniających im oglądany, przedziwny świat. Istne, tak naprawdę przygnębiające w swej masie i żalosnej różnorodności panopticum.

Skory umówił się z Lutkiem w pobliskim parku. Po drodze kupił paczkę papierosów, by po chwili usiąść wygodnie na niskiej ławeczce wśród bujnej, magistrackiej zieloności. Tutaj na razie był jaki taki spokój, choć po alejkach pętało się już kilkudziesięciu ożywieńców, głównie tych workowatych, najbardziej wystraszonych, „najstarszych”. Uderzyła go jedna, oczywista w tych warunkach wątpliwość. Jak administracja porozumiewa się z nimi – w końcu zakładając nawet, iż są to w większości rodacy, to jednak język jest tworem żywym, zmieniającym się z biegiem lat? Skąd ci biedni, wystraszeni ludzie, zmarli pięćset, tysiąc lat temu, mają znać współczesną mowę? Postanowił to sprawdzić. Właśnie nadchodził wolno jakiś przygarbiony, niskiego wzrostu workowaty. Patrzył wokół spode łba, jakby się skradał.

– Hej, dziewczynko! – Skory zwrócił się uprzejmie do niego, machając przyjaźnie ręką.

Workowaty stanął jak wryty i zwrócił swoje przekrwione, nieprzyjemne oczka na uśmiechniętego przyjaźnie Skorego. Rozejrzał się czujnie dookoła, następnie wolniutko, ostrożnie, podszedł bliżej. Widać było, iż jest przeraźliwie wystraszony.

– Tak? – rzucił krótkim, pełnym wyrazu i gotowości bojowej pytaniem.

– Usiądź tutaj, pogadamy – Skory pożałował nagle swojej ciekawości. – Słoneczko tak przyjemnie grzeje. Śpieszysz się

gdzieś?

– Nnie... – odpowiedział z namysłem workowaty. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie i usiadł wreszcie na przeciwnym końcu ławki. – Czego chcesz?

Zadziwiające. Gość zupełnie prawidłowo rozumie co się do niego mówi. Wyraża się też normalnie, choć nieco oszczędnie.

– Kiedy umarłeś?

Workowaty zmarszczył czoło. Nie żeby nie chciał odpowiadać, ale miał jakieś problemy.

– Ja... , ja nie umarłem – wyjaśnił wreszcie.

– Nie chrzań! – Skory pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ja też umarłem.

– Ja nie umarłem – upierał się workowaty. – Ja zostałem... zamęczony.

Cokolwiek to znaczyło, zabrzmiało bardzo ponuro. Skory, mimo, iż sam wycierpiał w życiu niemało, nie myślał nigdy o dawnych czasach w kontekście jakości ówczesnego życia, a zwłaszcza form, warunków, okoliczności umierania, odchodzenia tych ludzi. Chyba jednak nie były to czasy zbyt przyjemne. A wrażenie, jakie zrobiło na nim ostatnie stwierdzenie workowatego, spowodowało, iż zapomniał na chwilę o celu tej rozmowy, o swej ciekawości językowej.

– Jak, przez kogo? – zapytał ostrożnie, współczująco.

Workowaty spojrział na niego i widocznie jasno zauważył zmieszanie, zażenowanie indagującego, bo odsapnął jakby i odprężył się momentalnie. Wszechogarniające ten nowy, obcy świat zagrożenie, przygnębienie, zbladło nieco w obecności nieznajomego, na czarno ubranego, miłego jednak jak się zdaje człowieka. Zresztą rzeczywiście – w zieloniutkim, nasłonecznionym parku, rozbrzmiewającym nieustająco ptasim

śpiewem, panował przedpołudniowy, sielski spokój. Powinien więc cieszyć się, iż ma do kogo otworzyć odrażającą gębę.

– Kował i jego bracia – zaczął powoli mówić. – Połamali mi ręce, nogi, wyłupili oczy. Potem zakopali po szyję i... szczali na mnie. Na koniec walili w głowę wielkim kamieniem, aż złamali mój kark.

– Chryste Panie! – Skoremu nagle zrobiło się zimno. – Za co?

– Za ich barana, którego zarznąłem i zjadłem z głodną rodziną.

Skory nie miał już nic do powiedzenia. To, co usłyszał, nie wymagało żadnego komentarza, żadnego dodatkowego wyjaśniania. Workowaty niewątpliwie mówił prawdę, zresztą tak, jak zdaje się wszyscy dotychczasowi ożywieńcy. Jego własna, pełna cierpienia śmierć szpitalna, wydała się niczym w porównaniu z tą krótką opowieścią. I choć z natury był człowiekiem obrotnym, sprytnym, a nade wszystko inteligentnym, to jednak posiadał ogromne, współczujące serce, czułe na ewidentną krzywdę. Westchnął ciężko i przypomniał sobie o celu parkowej rozmowy.

Zrobiło mu się głupio, jednak po dłuższej chwili milczenia, spróbował ostrożnie podrażnić trochę tę interesującą kwestię.

– Kiedy to się stało? W którym roku?

Workowaty zrobił zafrasowaną minę. Podniósł małe, zmęczone oczka ku górze i niechybnie coś kombinował, obliczał.

– Jakies pięć wiosen po wygnaniu Laskonogiego... – wykrztusił wreszcie. – I ze cztery po jego śmierci – dodał.

Najwyraźniej nie zna współczesnej rachuby lat, a Skory nigdy nie znosił historii. Pamiętał mgliście ze szkoły kilka ważniejszych nazwisk i dat, teraz jednak został całkowicie zaskoczony. O takiej postaci nigdy nie słyszał.

– Któż to był, na Boga?

– Wielki pan. Popierał go Henryk Brodaty, ale i jemu się nie poszczęściło, bo dał się zamknąć Konradowi.

Niech tam. Tym sposobem niczego precyzyjnie nie ustalili, zresztą nie o precyzję tu chodzi. Uznał, że mowa jest o początku czternastego wieku, no może końca trzynastego. Jednym słowem ładny szmat czasu. Tym dziwniej wygląda więc problem języka. Skonstatował nagle, iż przecież on też gładko rozumie oszczędne teksty workowatego. Nieważne zresztą. Teraz nie liczą się takie techniczne wyjaśnienia – wszystko wokół to jedna wielka tajemnica.

– Dobrze kolego – uścisnął szczerze dłoń workowatego. – Dziękuję za rozmowę i... wszystkiego najlepszego na... rozprawie.

– Dziękuję – Workowaty chyba się uśmiechnął – ale ja już mam to za sobą.

– Tak? – Skory zdumiał się niepomieranie. – Co więc tu robisz?

– Czekam na transport.

To i po wyroku są kłopoty? Coraz mniej mu się to wszystko podobało. Wszędzie gigantyczne kolejki, na każdym kroku niejasne zakazy, nakazy, ogólny tumult, bałagan, pośpiech.

– Można wiedzieć dokąd? – spytał cicho workowatego.

Ten posmutniał nagle jakby zbierało mu się na płacz i nic nie mówiąc pokazał brudnym paluchem w dół, na świeżą, zieloniutką trawę.

– Nie może być! – zakrzyknął ponownie zdumiony Skory. – Za co?

– Za kradzież.

– Baran?

– Baran.

To już przechodziło wszelkie pojęcie. Skorym aż zatrzęsło z

bezsilnej wściekłości. Jeżeli takie jest Prawo, jeżeli są ferowane tak potwornie bezduszne wyroki, to już chyba lepiej by było przetrzymać to świdrujące wycie i nie budzić się w ogóle. Ale czy to możliwe?

– Na długo? – zapytał ponownie.

– Nie wiem – Workowaty był całkowicie przybity. – Aż do odwołania.

Nie dziwił się jego przygnębieniu. Marne życie, koszmarna śmierć i taka wszawa, zasrana nagroda. Co prawda katolicyzm zawsze był bezwzględny w swoich rozrachunkach końcowych, a i wszystkie te enigmatyczne kanony, przesyczone paranoiczną ceremonialnością, infantylną liturgią, upiornym upodleniem skromnych owieczek, nie dawały nigdy zbyt wielkich nadziei. I mimo, iż wielu co cwańszych wiernych, regularnie chodziło do spowiedzi tylko po to, by natychmiast potem ze spokojnym sumieniem grzeszyć na nowo, nie zmieniało to twardego, granitowego szkieletu doktryny. Ale żeby rozstrzygać aż tak bezdusznie?

– Będziesz apelował?

– Co?

– No, czy odwołasz się formalnie od wyroku?

– Nie... – Workowaty pokręcił smutno głową. – Nie mam już pieniędzy na jurystów.

To ci dopiero. Skory nie bardzo wiedział jak pomóc biednemu facetowi. Miał jeszcze osiemset absolutów, jednak kto wie, co czeka jego samego za miesiąc. Ale w końcu trzeba coś zrobić.

– Masz tu kartkę z moim adresem – podał mu naprędce zapisany skrawek. – Zastaniesz mnie tam wieczorem. Może coś wymyślimy.

Workowaty patrzył zdziwiony na świstek i obracał go we wszystkie strony jak jakiś cenny, delikatny prezent, z którym

jednak nie wiadomo co zrobić.

– O kurcze! – Skory zrozumiał nagle o co chodzi. – Ty nie umiesz czytać?

– Czytać? Nie.

Następny problem. Cóż, trzeba go jakoś rozwiązać.

– W takim razie – odruchowo podrapał się w głowę – bądź tutaj o zmierzchu. Przyjdę tu jeszcze raz z moim e... prowadzącym, no, kolegą. Wymyślimy coś.

– Dobrze – przyrzekł workowaty, po czym wstał gwałtownie. Odchodząc, obejrzał się jeszcze na siedzącego, przygarbionego nawałem ponurych myśli Skorego, by zniknąć wreszcie w jednej z rozlicznych alejek parkowych.

* * *

Po czterogodzinnej mszy, błogosławiony Walczak, umęczony do cna długotrwałym klęceniem na zimnej posadzce kościoła, urzędowo wzorowy wierny, zrezygnował z wizyty u teściów. Marzył tylko o jednym – wykąpać się ponownie i położyć w wygodnym łóżku przed telewizorem. Zwłaszcza, że nie może przeoczyć zapowiadanej od dwóch dni konferencji prasowej z Tel Awiwu, z udziałem Mojżesza i Noego. Teściowie też co prawda będą to oglądać, ale nie ma to jak własny, zaciszny kącik i samotna, spokojna kontemplacja ważkich zapewne treści z proroczych, świętych ust. Na żywo przecież.

Gdy otrzymał wreszcie od znajomego proboszcza prawidłowy dowód wpłaty dzisiejszej ofiary kościelnej, gdy usiedli już w samochodzie, zarządził;

– Irenko, weź dziewczynki i jedźcie do mamy – powiedział to naprawdę zmęczonym głosem, bez żadnego udawania. No, może troszeczkę. – Zaprawdę, ja już nie mam dziś siły na nic. Idę do łóżka.

– No a rodzice? – żona była niepocieszona. – Przyrzekałeś Zdzisiu?

– Jutro kochanie, jutro. Panie Stasiu – tu zwrócił się do służbowego kierowcy, służbowego, reprezentacyjnego samochodu – jedziemy do domu, a następnie z żoną i dziećmi do rodziców, dobrze?

– Tak jest szefie!

Pan Stasio, drobny, łysiejący mężczyzna po trzydziestce, najwyraźniej nie potrafił odnaleźć się w nowej sytuacji. Odkąd dostał urzędowy przydział jako osobisty kierowca błogosławionego, zachowywał się dziwnie – trzęsły mu się ręce, co chwila się pocił i dostał nerwowego tików lewej powieki. Swoje obowiązki wykonywał jednak na tyle dobrze, że Walczak był z niego całkowicie zadowolony. Jednak najwyraźniej coś Stasia gnębiło. Znali się zresztą od lat, z radosnych, młodzieńczych jeszcze pielgrzymek do Narodowego Sanktuarium i Walczak szczerze pragnął wyciągnąć go na serdeczną rozmowę przy pierwszej byle okazji. Lecz ostatnio nie było czasu na nic.

Dziś wszakże, właśnie teraz, Stasio podjął męską decyzję. Gdy podjechali pod dom, gdy błogosławiony wysiadł wreszcie, Stasio, stojąc jeszcze w przepisowym ukłonie przy drzwiach auta, zagadnął nieśmiało;

– Przepraszam szefie, że się ośmielam, ale...

– No, co jest panie Stasiu? – Walczak kordialnie objął kierowcę za ramię. Uważał go za prawie przyjaciela.

– Czy..., czy po odwiezieniu żony i dzieci, mogę e... liczyć na kilka minut rozmowy?

– Dzisiaj? – Błogosławiony ledwie zdołał ukryć mimowolny grymas niechęci.

– Jeśli można.

– No cóż, dobrze – odruchowo spojrział na zegarek. – za pół godziny będę już po kąpieli. Zdążycie wrócić od teściów?

– Zdążę – obiecał Stasio ochoczo, i usiadłszy ponownie za kierownicą, odjechał ostrożnie z rodziną przełożonego.

Już w wannie, błogosławiony zachodził w głowę jaką to sprawę ma do niego kierowca. Może chodzi o podwyżkę? Lecz jak wiadomo, siatka płac ustalana jest odgórnie, stawki określone precyzyjnie i raz na zawsze. Przeniesienie, urlop? Ach, zaraz się wszystko wyjaśni. Odświeżony i nieco senny, ubrał się w przydługą szlafrok, po czym z filiżanką mocnej herbaty usiadł na werandzie, wystawiając blade, dostojne lico ku niezmiennie jaskrawemu słońcu. Chyba się nawet troszkę zdrzemnął.

Po kilku minutach Stasio wrócił. Zaparkował na zwykłym miejscu, wysiadł cichutko z przydziałowego samochodu, po czym zbliżył się ostrożnie do dygnitarza.

– No, mówcie – Walczak specjalnie zachowywał urzędową rezerwę. Nie poprosił nawet nieoczekiwanego petenta by ten usiadł.

– Widzi pan szefie, miałem, e..., mam brata. – Stasio emanował wprost nieporadną, podświadomą służalczością. Wyjątkowo jednak w tym wypadku uzasadnioną.

– Naprawdę?

– Tak. I on, ten brat, został... no, obudzony.

– Gratuluję – Błogosławiony w dalszym ciągu zachowywał rezerwę.

– Dziękuję. Tylko, że brat za życia nie był zbyt... bogobojny.

– Cóż, nikt z nas nie jest bez wad. Tylko Pan postępuje właściwie.

– Tak. Ale on..., no, to był, jest... kawał skur..., przepraszam, kawał drania. – Stasio już kompletnie stracił rezon. Do tego

stopnia, iż zdjął służbową czapkę, a następnie wielką chustą począł wycierać spoconą łysinę. Lewa powieka drgała mu z częstotścią skrzydełek przerażonego motylka. – On mnie okrada i ... bije. To... Kain.

– No i? – Walczak obojętnie łyknął herbaty.

– Chciałbym zapytać, czy by nie było możliwe przyśpieszenie i równie szybkie skazanie. Niekoniecznie zresztą surowe, chociaż... – Stasio zdobył się jednak na odwagę i wypalił te dwa zdania jednym tchem. – Ja..., ja niewiele mam, ale zrobię wszystko by się choć w części... odwdzińczyć, zasłużyć.

– No, no! – Błogosławiony przybrał niezbyt surowy wyraz twarzy. – Proponujecie mi... coś?

– Skądże! – zaprzeczył żywo Stasio. – Tylko jeśli jakieś koszty, wydatki...?

Walczak uspokoił się już całkowicie. W końcu gdyby nawet przysłużył się jakoś uczciwemu, porządnemu i pracowitemu znajomemu, to przecież byłoby to nic innego jak zwykły, dobry uczynek, samarytańska, zbożna przysługa. Jeszcze jeden plus na długiej liście zasług. I choć zdarza mu się to pierwszy raz, to czemu nie? Ma kilku wyższych rangą kolegów, a i sam też może co nieco. Ta wewnętrzna, świadomie prowadzona kalkulacja nie zdziwiła go zbytnio, gdyż od jakiegoś czasu, ściślej od momentu mianowania, obserwował u siebie stałą, hm... merkantylną niejako przemianę.

Odkąd kilka lat temu został zgodnie z nową praktyką Kościoła, żyjącym, oficjalnie namaszczonego Błogosławionym, odkąd stał się kimś znanym, przynajmniej w społeczności lokalnej, w Diecezji, odtąd jego wydawałoby się naturalne przywiązanie do ludzi, ich prawie uwielbienie, zmieniało się powoli w narastający dystans, chłód, kalkulację właśnie. Nie, żeby stał się zatwardziałym mizantropem, ale... Nie starał się temu przeciwdziałać, gdyż było mu z tym jakby łatwiej, całkiem nawet dobrze. To zapewne dochodziła powoli do głosu jego prawdziwa,

nierozpoznana dotąd natura. W istocie zaczynała dominować.

– Dobrze – powiedział przeciągle, patrząc na skurczonego Stasia. – Na kiedy brat ma wezwanie?

– Na siedemnastego września.

– Mieszka z wami?

– Tak, niestety, a... chyba wie pan jak teraz z mieszkaniami. I właśnie...

– A więc... – Błogosławiony głośno myślał. – Zgłosicie się do mnie, e... w czwartek, z wszystkimi papierami brata. Przejrzę je i zobaczymy co się da zrobić. Przygotujcie się też na, powiedzmy, e... tysiąc pięćset absolutów. Dacie radę?

– Chyba tak – ucieszył się Stasio, choć kwota wydawała się ogromną. – Żona wzięła dodatkową pracę, szycie worków dla... i ... jakoś to pewnie będzie.

– To dobrze – Walczak, nie wiedzieć czemu, miał już dość tej rozmowy. – Jedźcie teraz do domu, a wieczorem, jak było umówione, przywieziecie mi tu moją rodzinę. No, jazda, w imię Boże.

Uradowany Stasio przyklęknął, z szacunkiem ucałował błogosławionego w rękę, po czym szybko do limuzyny i odjechał. Walczak nareszcie został sam. Dopił herbatę, po czym rozebrawszy się do spania, włączył telewizor i ułożył wygodnie w łóżku. I choć powodowany zmęczeniem bezwiednie przymykał powieki, to jednak ostatek woli nie usypiał, chcąc obejrzeć zapowiadaną audycję.

Nie musiał zresztą długo czekać. Po wiadomościach, wypełnionych prawie w całości radosnymi doniesieniami o masowym, globalnym przechodzeniu ludzi wszystkich wyznań na katolicyzm, po niezbędnej porcji reklam i nieustająco optymistycznej prognozie niezmiennie słonecznej pogody, nastąpiło połączenie z Izraelem. W specjalnie wynajętym przez

Watykan studiu zgromadziły się dziesiątki dziennikarzy z całego świata. Za długim stołem upstrzonym gałązkami oliwnymi i lasem mikrofonów, na błękitnym tle z pięknie stylizowanym hasłem; „Ostatni będą pierwszymi”, zasiadło dwóch najważniejszych gości. Noe, postawny, imponującej postury mężczyzna z krótką, równiutko przystrzyżoną bródką, ubrany w nowiutki, elegancki mundur marynarski z kapitańskimi naszywkami i okazałą fajką w żółtych zębach, oraz Mojżesz, w śnieżnobiałej, długiej szacie, drobniejszy nieco, jednak o silnym, władczym spojrzeniu i szlachetnych rysach, mimo obfitego, siwego zarostu i słusznego nosa.

Obaj zresztą, co przecież zupełnie oczywiste, mieli wyraźnie semickie rysy i choć wyglądali na bardzo, bardzo starych, jednak w jakiś dziwny sposób, emanowała z nich mimo to młodzięcza energia, witalność. Inna sprawa, że kilkugodzinna charakteryzacja proroków też zrobiła swoje. Konferencję prowadził przystojny, gładkolicy anioł z archanielskimi naszywkami. Z wyjątkiem niebieskiego, tylnego tła, cała sala wymalowana była rzecz jasna na różowo i oświetlona intensywnie takiegoż koloru światłem. Między uczestnikami krążyły tabuny kilkunastoletnich, kuso odzianych, złotowłosych dziewczyn, roznoszących napoje, obsługujących mikrofony. Zaczęło się wreszcie.

Pierwsze pytanie zadała młoda dziennikarka francuska.

– Monsieur kapitan. Jest pan praojcem wszystkich współczesnych ludzi. Czy po zmartwychwstaniu, miał pan ochotę i czas zapoznać się z naszymi dziejami, historią?

– Czemu nie? – odpowiedział Noe niskim, poważnym, pełnym energii głosem. – Pobieźnie co prawda, ale owszem, tak.

– I czy doszedł pan może do jakichś budujących wniosków?

– Budujących? Tak. Wszystko to – zatoczył ręką szeroki łuk – jest do chrzanu. Jestem rozczarowany.

– Aż tak? – zdziwiła się dziennikarka, zaskoczona także bezpośredniością, bezpretensjonalnością odpowiedzi.

– Aż tak! – potwierdził Noe. – Bardzo mi się to nie podoba.

– A monsieur Mojżesz? – tu dziennikarka zwróciła się do milczącego dotąd ponuro proroka.

– Ja...jja t...teeeż t...aak mm...yślę – z wysiłkiem wycedził Mojżesz, znany w końcu z tego, iż, z powodu ogólnie wiadomej wady wymowy, nie był zbyt błyskotliwym mówcą. A ponieważ Aaron, jego brat, jego prawa ręka, a ściślej mówiąc, jego usta, najwidoczniej nie został jeszcze wzbudzony, musiał sobie radzić sam. – I dz... iwie ss... ię Nn... nn... aaajww...

– Najwyższemu! – nie wytrzymał Noe i zwerbalizował głośno za Mojżesza trudne, święte słowo. Ten spojrzał nań ostro, po czym zaprzestał daremnego wysiłku. Konferencja zapowiadała się interesująco. Francuzka nie oddała mikrofonu, miała jeszcze jedno pytanie.

– Monsieur Mojżesz, czy ma pan swoją... łaskę?

Sala zamarła. Tu i ówdzie dał się słyszeć chichot, a indagowany tak bezpośrednio prorok oblał się rumieńcem.

– Ja...ja tt...aa...k, oo jjaa...kk...ą l...a...sss...

– Nie ma łaski – wyjaśnił szybko Noe, uśmiechając się szeroko.

– Łaski, tak jak i inne rekwizyty biblijne nie podlegają... wznowieniu, o ile wiem.

– Tt...aak, tt...aak! – wykrzyknął potwierdzająco Mojżesz.

Uczestnicy konferencji, wszyscy obecni, odetchnęli z ulgą po tak szczęśliwie zakończonej kwestii. Nieszczęsnej dziennikarce wyrwano mikrofon, po czym do ataku ruszył znany dziennikarz jerozolimski, Goldman.

– Panie Noe. Czy mówiąc tak źle o naszej historii, chce pan

powiedzieć, że cały pański wysiłek konstruktorski, skutniczy, poszedł na marne? Że to się nie opłaciło?

– Czy ja mówię, że się nie opłaciło? – odpowiedział pytaniem zagadnięty.

– Tak? A czy w związku z pańską... hm... działalnością – drażył Goldman – nie spodziewa się pan solidnego zadośćuczynienia... powiedzmy, e... duchowego z... wiadomej strony?

– Nie wiem.

– Jak to pan nie wie?

– Po prostu. Za kilka dni wyruszam z wyprawą do Turcji, by nareszcie...

– Ararat? – zakrzyknął Goldman, przerywając Noemu wywód.

– Tak.

– Czy zabrał pan na arkę coś..., coś jeszcze prócz zwierząt, coś..., no wie pan, żółtego, metalowego, i co można teraz znaleźć, odkopać?

– Może... – uśmiechnął się Noe.

– A... ile tego jest?

– Panie Goldman! – Noe w końcu zdenerwował się. – Nie ma pan innych pytań? Coś się pan uczeplił tego... metalowego?

– Ależ to są właśnie ważne pytania! – zdumiał się dziennikarz, jednak zamknął się wreszcie na dobre. Natychmiast też zgłosił się następny dziennikarz, rosyjski, zwracając się do jeszcze zdeprymowanego, podenerwowanego Mojżesza.

– Gaspadin Mojżesz, słyszał pan zapewne o Leninie?

– Tt... aak.

– Czy mimo, że jego świetne przecież idee, zostały skrajnie

wypaczone w trakcie realizacji, zwłaszcza przez jego nieudolnych następców, czy mimo to nie uważa pan, iż macie ze sobą wiele wspólnego? W końcu pan też przewodził swemu umęczonemu ludowi, też naobiecywał wspaniałych rzeczy, także radykalnie odmienił jego smutny dotąd los? Nie twierdę, że na gorsze, ale...?

Mojżesz słuchał zdumiony, wwiercając się ponurym spojrzeniem w szalonego tupeciarza, wreszcie wstał, i wymachując rękoma wykrzyknął;

– Ppanie! Cco mmi paan ttu zza bzzduu... uury oooppowiadaaa – pod wpływem emocji nawet jakby mniej się jąkał. – Czyy...y tten ppederrrasta wwyypprowadził sswoój nnaród zzz nniewoli eg... ippskiej? Czyy mmoże rroo... ozmawiał z Nnn... iim? Czy ootrzymał ttablice? Czy czynnnił cuu... uuda?

– Do pewnego stopnia, choć rzeczywiście bez... łaski.

– Gg... ówwno! – Mojżesz walnął pięścią w stół. – Teen łysyy ss... aatrapa bbędzie ssie ssmaaazył w pp... ppp... ieee...

– W piekle – znów dokończył żwawy kapitan.

W tym miejscu konferencję przerwała reklama manny niebieskiej, serwowanej teraz w poręcznych, estetycznych opakowaniach z plastikowym dozownikiem.

Walczak, zapomniawszy całkiem o zmęczeniu, senności, słuchał tego wszystkiego i narastało w nim uczucie niesmaku. Po pierwsze wyobrażał sobie owych dwu proroków całkiem inaczej, po drugie jak dotąd, nie mógł przyzwyczaić się do obowiązującej totalnie, we wszystkich bez wyjątku audycjach, formy przekazu tak ważnych i wzniosłych treści. Formy wyraźnie nakierowanej na prymitywnego, nieoczytanego widza, formy stosowanej powszechnie w czasach ostatecznych wobec skretyniałych do cna, nie używających mózgów, infantylnych konsumentów masowych. To zupełnie nie to, czego oczekiwał po tej konferencji. I ci agresywni, nieobliczalni i niesmaczni

dziennikarze o wyraźnie liberalnych poglądach. Ale tymczasem bazarowe reklamy skończyły się i przerwana transmisja została wznowiona. Teraz głos miał dziennikarz niemiecki.

– Herr Mojżesz. Jak rozumiem nie jesteście z kapitanem osobami uprzywilejowanymi i tak jak inni oczekujecie w pokorze na swoje rozprawy ostateczne? Czy się mylę?

– Tt... aak.

– Mylę się?

– Nn... nieee.

– I wszystkie wasze papiery są standardowe, nic szczególnego?

– Nnn... oo ttaaak.

– A w jakiej wysokości, jeśli oczywiście można zapytać, otrzymaliście zaliczki bytowe?

– Ttaaa...k jaaak www...

– Tysiąc absolutów – uściślił szybko Noe.

– I uważa pan – tu Niemiec zwrócił się do kapitana, – że to sprawiedliwe, wobec waszych indywidualnych, wielkich i niepodważalnych zasług? Zostaliście przecież, wy, wielcy, potraktowani tak jak my, jak inni szaraczkowie.

– Zaprawdę, na tym właśnie polega Boża sprawiedliwość... ość... ćć! – To niespodziewanie włączył się milczący dotąd, gładkolicy archanioł, widocznie także uprawniony przedstawiciel administracji niebieskiej do wyjaśniania tego typu trudnych kwestii. – Nagrodą za ziemskie uczynki, zasługi, także zaistniałe w tym, szczególnym okresie, jest prawomocnie orzeczone byt niebieski. Lub piekielny... elny... ny...yy.

Anielskie wyjaśnienie było zwięzłe i konkretne, zwłaszcza, że wygłoszone dźwięcznym, donośnym, stanowczym głosem, obficie ubarwionym solidnym, budzącym szacunek echem. To rzeczywiście

musiał być ktoś wysoko postawiony w hierarchi niebieskiej. Cała, ogromna sala rozbłysła też w tym momencie intensywniejszą jeszcze światłością, a wszystkie uwijające się wśród uczestników dziewice, przyklęły jednocześnie jak na komendę. Tu i ówdzie polał się podawany właśnie sok, czy kawa. Zabrzmiało kilka taktów muzyki organowej. Narastające nastroje opadły wobec tego mikroskopijnego, ułamkowego wszak, a jakże przecież dobitnego przejawu mocy. Archanioł spojrzał łagodnie po sali i skinął złotą czupryną. Dyskusję można było prowadzić dalej.

– Tak trzeba, tak trzeba! – zakrzyknął do odbiornika usatysfakcjonowany wreszcie Walczak, też w końcu reprezentant zapracowanej władzy.

W tym momencie obraz na ekranie zwichrował się fatalnie, a z głośnika, zamiast pytań i odpowiedzi, popłynęła klasyczna już dziś i stareńka, choć w dalszym ciągu głośna, a momentami wulgarna, choć harmonicznie poprawna muzyka Beatelsów. Takie rzeczy zdarzały się coraz częściej, i jak dotąd nikt nie był w stanie wyjaśnić, co się dzieje. Mówiono co prawda o jakimś podziemiu, o protestantach, jednak kto by słuchał prymitywnych plotek. Błogosławiony zaczekał jeszcze chwilę, lecz gdy sytuacja nie zmieniała się, gdy ciągle zamiast tak wrednie przerywanej transmisji, cały dom rozbrzmiewał rytmicznym zawodzeniem, wyłączył wreszcie telewizor i ułożywszy się wygodnie na boku, spokojnie zasnął. Dla niego mijał właśnie kolejny, dobrze spełniony Dzień Chwały, obiecujący dodatkowo swym przebiegiem następne, kto wie czy nie lepsze.

* * *

Skory nie widział jeszcze takiego chlewu. W maleńkim pokoiku, pod wielkim oknem, stało obskurne, stare biurko z mnóstwem papierów, grubych książek ułożonych niechlujnie jedna na drugiej, nadtłuczonym telefonem, wreszcie mosiężną lampą z brudną żarówką. Sam ten mebel zajmował połowę powierzchni pomieszczenia, wypełnionego do cna przeróżnymi szafkami,

połamanymi regałami, półkami, i przede wszystkim porozrzucanymi wszędzie pożółkłymi dokumentami.

Ściany pomieszczenia, niegdyś zapewne białe, pomazane były różnych kolorów plamami, z dominacją brudnoszarego. Na środku, pod wysokim sufitem, zwisała na długim przewodzie potężna, niczym nie osłonięta żarówka, wyłączona teraz zapewne z powodu wlewającego się obficie przez obszerne okno potoku światła słonecznego uwydatniającego cały ten bajzel,. Jedyna, jako tako porządna, a w każdym razie nowa rzecz, rzucająca się demonstracyjnie w oczy, to stojący na biurku, złożony na pół biały kartonik z odręcznie wykaligrafowanym napisem; „Roman Kolka – Adwokat – Sprawy cywilne, spory administracyjne”

Za biurkiem, rozparty w iście cyrkowej pozycji, siedział trzydziestoletni, łysiejący mężczyzna, patrzący spode łba na kręcącego się ciekawie po pomieszczeniu Lutka Żelazko, który co i rusz podnosił z brudnej podłogi jakiś dokument, otrzepywał go z kurzu i następnie wykrzykiwał; – O kurde! Popatrzcie na to!.

Adwokat nie wytrzymał wreszcie i westchnąwszy, zmęczonym, cichym głosem powiedział; – Lutek, usiądź wreszcie. Rozpraszasz nas.

– Tak? Już siadam stryju.

Sytuacja była zabawna. Kolka, starszy brat przyrodni ojca Lutka z pierwszego małżeństwa ich matki, zdolny, znany cywilista z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, uległ śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu. Ściślej, został fatalnie przejechany przez pijanego kierowcę ciężarówki, i w ciężkim stanie przewieziony do pobliskiego szpitala. Tam, w wyniku niechłujnie przeprowadzonej amputacji obu nóg, zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Następnie obudzony w Trzecim Dniu Chwały, rozeznał się szybko w sytuacji, odnalazł potrzebne dokumenty i nie bez kłopotów, wygrał proces o odzyskanie dawnej kancelarii. Nie urządził się jeszcze całkowicie, jednak

nawet w tych prymitywnych warunkach nie mógł narzekać na brak klientów. A teraz, będąc formalnie stryjem prawie siedemdziesięcioletniego Lutka, przyzwyczajają się powoli do tej niesamowitej zależności rodzinnej. Lutek też, choć przecież nie dziwił się już niczemu. To właśnie on odnalazł stryja i przyprowadził tutaj Skorego.

– Panie Skory – kontynuował Kolka. – Papiery ma pan w porządku, lecz wykaz przewinień nad wyraz imponujący. Ciężka sprawa, zwłaszcza, że nie do końca jestem zorientowany w obecnie obowiązującym prawie. Szczególnym prawie, przyzna pan?

– Owszem – zgodził się Skory, – lecz do rozprawy mamy jeszcze trochę czasu. Podciągnie się pan szybciotko, naucz.

– To kurde zdolny facet – wtrącił Lutek. – Mam to po mamie, prawda stryju?

Mecenas spojrział krzywo na Lutka i zapalił papierosa.

– Ty Lutek jesteś taki sam jak twój ojciec – wycedził, jednak bez szczególnej złośliwości. – Obaj mieliście straszliwą awersję do nauki, do pracy. I kim ty u diabła teraz jesteś, co osiągnąłeś na starość?

O dziwo, Lutek jakby zaczerwienił się, po czym spuścił skromnie oczy i wprost do podłogi powiedział;

– No, jestem przecież prowadzącym, opiekunem Wacka. To też kurde jakaś pozycja.

– Tak, pozycja – ironizował Kolka. – Co druga osoba w tym mieście jest czymś urzędowym prowadzącym. Same figury.

Skory rozumiał Lutka. Całe życie przedzierał się sam przez wzburzone morze trudności, nikt mu nie pomagał, żona była tylko żoną, i nawet mu do głowy nie przyszło radzić się jej, czy oczekiwać jakiejś pomocy. Nie posiadali dzieci, więc Lutek, sam trochę dziecko, nie zdobył tej tak potrzebnej w życiu cechy jaką jest odpowiedzialność. Także za siebie. W

efekcie miał mnóstwo znajomości, kołesiów, interesików, ale, mimo iż lubiany przez wszystkich, był niestety zwykłym, szarym obywatelem. Nikim. Zaprzyjaźnili się zresztą serdecznie przez te kilka tygodni wzajemnego zamieszkiwania. Żona Lutka, Hela, okazała się miłą i mądrą kobietą, a sam Lutek człowiekiem nadzwyczaj uczynnym i na swój sposób do gruntu uczciwym.

– Panie mecenasie – Skory przerwał tę maleńką rodzinną kłótnię. – Jak zrozumiałem, bierze pan moją sprawę i obiecuje... przynajmniej porządny, sprawiedliwy proces?

– Tak, lecz...

– Rozumiem, rozumiem. Ile więc wynosi zaliczka i ile mam przygotować po... wygranej?

Adwokat spojrzał dziwnie na Lutka i w rozterce pogładził łysą czaszkę. Z jednej strony miał już ustalone dość wysokie stawki za takie usługi i mimo tego nie narzekał na brak klientów. Z drugiej strony, to przecież kolega, podopieczny Lutka, jedyne, jakby nie było, bratanka. Nic to, że nie znali się wcześniej, że Lutek urodził się grubo po jego tragicznej śmierci. Pokrewieństwo zobowiązuje.

– Tysiąc zaliczki i cztery tysiące po wyroku – rzucił ostrożnie. – Razem pięć.

– Co ty, wuju? – zachnął się Lutek. – Skąd my kurde weźmiemy tyle mamony?

Tym razem zaczerwienił się adwokat, wyraźniej przez to, że był kimś znacznie młodszym od swojego stareńkiego bratanka. Nie poddawał się jednak bez walki, a przynajmniej uzasadnienia swojej ceny.

– Jak widzisz Lutek, muszę uporządkować ten chlew, porobić niezbędne remonty – jednym słowem urządzić kancelarię z prawdziwego zdarzenia. Muszę zatrudnić sekretarki, aplikantów, pomocników. Ponieważ terminy nawet starszych wiekiem

zmarłychwstańców przeciągają się nieprzyzwoicie – niektórzy chorują, zaczynają też umierać ponownie, moja sytuacja hm... niebieska, młodego wszak osobnika, rozstrzygnie się dopiero za kilka, może kilkanaście lat. Do tego czasu muszę jakoś żyć, prawda? A to wszystko niestety kosztuje. Pewnie też przydzielił mi jakiegoś uskrzydłonego formalistę, albo nawiedzonego błogosławionego, którego będę musiał utrzymywać. I tak podałem kwotę o połowę niższą niż zazwyczaj.

– Ja to rozumiem – upierał się Lutek przytłoczony trochę potoczystością wywodów stryja, – jednak skąd? Zaliczka, owszem, coś się zrobi, ale kurde później?

– W porządku Lutek – odezwał się Skory. – Znajdę jakieś zajęcie, coś się zorganizuje. Zgoda – tu zwrócił się do adwokata. – Za dwa, trzy dni dostarczę panu zaliczkę i podpiszemy stosowne papiery, dobrze?

– Dobrze – Kolce spadł kamień z serca. – Tylko proszę wcześniej zadzwonić.

– I jeszcze jedno – kontynuował Skory. – Pod pańskimi drzwiami czeka inny potencjalny klient, mój z kolei znajomy. Jego sytuacja jest trudna o tyle, że jest on już po wyroku w pierwszej instancji, a chce biedak apelować.

– Któż to taki?

– Taki tam chłopiek z trzynastego wieku. Tępota, ale wyjątkowo okrutnie potraktowany.

– To znaczy?

– To znaczy, że za kradzież barana, którego zżarł z głodującą rodziną, został najpierw w przerażający sposób zamordowany, następnie już po zmartwychwstaniu, bezdusznie skazany na wieczne potępienie. Jeszcze na szczęście nie ekspediowany z powodu ogólnych braków wyposażenia i... bałaganu.

– Wacek, daj sobie z nim spokój – zaprotestował Lutek. – Mało

ci kurde własnych kłopotów?

– Ale to porządny facet, tylko trochę przygłup – Skory był uparty.

– Czy to pańska rodzina? – chciał wiedzieć adwokat.

– Skądże. Poznałem go w parku, gdzie opowiedział mi swoją ponurą historię. Nie ma gdzie spać, ciemna ofiara. W dodatku analfabeta.

Kolka wstał zza biurka i poważnie utykając, począł chodzić po pokoiku. Jako zregenerowany zmartwychwstaniec miał, co prawda nowe, tak nieszczęśliwie ucięte w szpitalu nogi, jednak zapewne zgodnie z ogólnym niedoróbkowym trendem, wybrakowane, nie do końca sprawne. Był w kropce. Rodzina rodziną, znajomi znajomymi, lecz przede wszystkim musi dbać o swoją karierę, o swój byt. Teraz jeszcze ten apelant, też pewnie bez grosza przy duszy. Diabli nadali tego Lutka. Cóż, zaryzykuje ostatni raz.

– Niech wejdzie – stęknął zrezygnowany.

Skory wstał więc z krzesła i otworzywszy skrzypiące drzwi wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił, popychając przed sobą wystraszonego workowatego, zachęcając go spokojnym; – No wchodzi dziewczynko, no wchodzi...

Ten wszedł ostrożnie i rozejrzawszy czujnie po pomieszczeniu, ożywił się nieco. Najwyraźniej przyzwyczajony był do małych kubatur i panującego w nich zazwyczaj bałaganu. Popchnięty lekko przez Skorego, usiadł na brzegu podstawionego krzesła. Mecenas zmarszczywszy brwi obserwował go uważnie.

– Jak się pan nazywa? – zapytał po chwili.

– Ja? – Workowaty zrobił wielkie oczy.

– No tak, pan.

- Szekla.
- A imię?
- Szekla.
- Szekla, Szekla?
- Nie. Szekla.
- Nie ma pan imienia? – Kolka zaczynał się niecierpliwić.
- Mam.
- Jakie?
- Szekla.
- Chryste! – adwokat stracił resztki cierpliwości. – Wie pan co to imię?
- Wiem.
- No więc?
- Stryju – wtrącił Lutek. – Człowiek ten ma tylko jedną ksywę, która jest też jednocześnie imieniem – to kurde proste.
- Na to wygląda – stwierdził ponuro Kolka i usiadł ponownie za biurkiem. – Jak się nazywał pański ojciec?
- Szekla.

Skory, Lutek i Kolka nie wytrzymali i ryknęli śmiechem. Sytuacja była przekomiczna, choć z formalnego punktu widzenia niewesoła jakby. Jednak przecież sąd orzekający wyrok, musiał sobie mimo wszystko jakoś poradzić. A może nie całkiem?

- Ma pan jakieś dokumenty? – ponownie zagadnął adwokat, gdy już się uspokoili i pocierali zażawione śmiechem oczy.
- Mam.

– No to proszę je pokazać.

Workowaty wstał z krzesła i prawą rękę wsadził głęboko za kołnierz urzędowego okrycia. Okazało się, iż posiada ono kilka wewnętrznych, przylegających bezpośrednio do ciała kieszeni. Kompletnie bezsensowna i brzydka konstrukcja. Po dłuższych manipulacjach, po kilku zastanawiająco skomplikowanych manewrach ręką, workowaty podał wreszcie adwokatowi urzędową tekturkę, jego jedyny obecnie dokument. Kolka oglądał go chwilę, następnie bez słowa przekazał Skoremu i Lutkowi do obejrzenia.

Był to standardowy druczek sądowy z mnóstwem rubryk, kodów cyfrowych i pieczętek. Każda przewina osądzona i zakwalifikowana, podane uzasadnienia oraz stosowne paragrafy. Jednym słowem sucha, urzędowa literatura – beznadzieja, bez cienia współczucia, chrześcijańskiej, litościwej przychylności. Lutek, obejrzawszy ów straszny wytwór niebieskiej biurokracji, nie mógł powstrzymać się od splunięcia na brudną podłogę, którą co prawda zaraz przetarł butem. Szekla patrzył na to wszystko dość obojętnie, w końcu chyba niewiele rozumiał, a i wycierpiał już tyle, że mało co mogło wyprowadzić go z równowagi. Kolka pocierał w zamyśleniu czoło.

– Niezłe z pana ziółko, panie Szekla – stwierdził po chwili

– E tam... – Workowaty był skromny.

– I czego pan po mnie oczekuje?

– No...

– Skutecznej apelacji! – sprecyzował Skory za nie dość wylewnego Szekłę. – Pełnopłatnej, skutecznej apelacji.

– Dziesięć tysięcy! – rzucił natychmiast adwokat.

– Dobrze! – zgodził się od razu Skory. – Za dwa, trzy dni u pana.

Lutek patrzył na Skorego jak na głupka. Skąd on u licha weźmie tyle mamony? W dodatku w tak krótkim czasie? Miał tylko nadzieję, że zaraz po wyjściu z tej mini kancelarii dowie się o co chodzi. Teraz czuł, iż nie powinien poruszać tej kwestii w obecności stryja. Podniósł się także z krzesła i wszyscy troje ruszyli ku drzwiom.

– Dwa, trzy dni, czy tak? – upewniał się Kolka.

– Tak, i... do widzenia.

– Do widzenia stryju.

– Do widzenia. Do zobaczenia panie Szekla.

– Darz bór! – tym razem dość rezolutnie odpowiedział Szekla i w trójkę opuścili brudny pokoik.

Już na zatłoczonej niemożebnie ulicy, Lutek złapał Skorego za rękaw.

– Co ty Wacek z tymi pieniędzmi? Skąd kurde weźmiemy tyle szmału?

– Nie martw się Lutek. Powiem ci w domu o co chodzi. – Skory zlekceważył chwilowo sprawę, po czym, jako że pora była obiadowa, poczęli przepychać się w kierunku najbliższej jadłodajni.

Nie szło im łatwo. Z niewiadomego powodu tłum na ulicy gęstniał z każdą minutą. Ludzie nie zdążali jak zwykle donikąd – gromadzili się raczej na chodnikach, wypatrując czegoś z południa, od strony przedmieścia. Zazwyczaj zatłoczona pojazdami, szeroka jezdnia, pozbawiona była teraz wszelkiego ruchu kołowego. Wzdłuż krawężników, spacerowały setki umundurowanych policjantów i zaopatrzonych w urzędowe opaski, cywilnych przedstawicieli ochotniczych służb porządkowych. Coś się miało wydarzyć.

– Co się dzieje? – zapytał Skory Lutka.

– Nie wiem, nie oglądaliśmy kurde wczoraj telewizji.

Tymczasem gwarny tłum ucichał powoli. Wszyscy zbliżyli się do krawężników i podnosząc wysoko głowy, stając na palcach, wyglądali ciekawie na pustą jezdnię. Po kilku minutach pojawiła się pierwsza, odkryta limuzyna z biskupem archdiecezjalnym i jego sekretarzami, a tuż za nią mniej reprezentacyjne auta urzędników miejskich. Potem grupa bosych zakonników w długich, brązowych habitach, idących wolno i dostojnie środkiem ulicy. Za nimi następna, i jeszcze następna, niosąca tym razem kilka transparentów z napisami; „Kochaj zwierzęta”, „Zwierzę to Twój młodszy brat”, „Jak ty zwierzęciu, tak Pan Tobie”, „Franciszkanie solą tej ziemi”, „Bądź człowiekiem i miej serce”, itp..

Za transparentami jechało kilka drewnianych wozów z wszelkiego rodzaju karmą, ciągnionych i popychanych z wysiłkiem przez zwolenników wędrujących animalistów. Na jednym z nich, na podwyższeniu, siedział młody, obficie zarośnięty zakonnik, i... nie licząc skromnej przepaski na biodrach, całkowicie goły. Nad jego głową świeciła jaskrawo piękna, różnokolorowa i jakby wirująca powoli aureola, widoczna doskonale nawet w to słoneczne południe. Przez obserwujący pochód tłum przebiegł pomruk; – To on, to on.

– Kto? – zagadnął Lutek najbliższej stojących.

– Jak to kto? Stygmatyk, święty Franciszek z Asyżu, wędrujący od miasta do miasta, przyjaciel zwierząt i biedaków. – Otrzymał natychmiast tak oczywiste przecież wyjaśnienie.

Święty sięgał co i rusz do plastikowych pojemników i rozrzucał wokół przeróżną karmę; – a to pszenicę i groch dla ptaków, a to małe puszki z Pedigre dla psów i Kitecat dla kotów, wreszcie luzem i zupełnie bez sensu suchy pokarm dla rybek. Nie zapominał też o ludziach, ciskając w tłum czerstwymi bułkami i puszkami z piwem. Piwo i owszem, miało powodzenie, ale twarde bułki były często odrzucane z towarzyszeniem

wrogich okrzyków i wygrażaniem pięściami. Młody święty uchylał się jednak zręcznie, tak, że ani razu nie został trafiony. Nad całą procesją krążyły tysiące gołębi i wszelkiego ptactwa, obsrywając wszystko dokumentnie. Wokół biegały stada ujadających psów i przeraźliwie zawodzących kotów, nie mogących sobie poradzić z zaplombowanym w stal pożywieniem. Z tyłu, za orkiestrą magistracką, wlokło się kilka starych kobył i ze cztery krowy, zbierając łapczywie z jezdni porzucone przez świętego siano.

Świeża warstwa guana pokrywała już całą jezdnię i okoliczne domy, nie wyłączając zgromadzonego tłumu. Ludzie, zorientowawszy się zbyt późno, parli gremialnie na pobliskie bramy i zadaszenia, złorzecząc głośno. Chaos narastał, powiększany dodatkowo przez nadaktywne teraz służby porządkowe, pałujące tłum jak popadnie i wyłapujące co bardziej agresywnych zmartwychwstańców. Lutek, jako najlepiej znający miasto, pociągnął swoich kolegów do przejściowej bramy, by wędrując z nimi pośpiesznie przez podwórkowe zakamarki, wydostać się bez przeszkód z rejonu zagrożenia.

* * *

Błogosławiony Walczak był dziś spóźniony. Wczorajsze magistrackie przyjęcie na cześć goszczącego w mieście świętego przeciągnęło się do późna w nocy. Bolało go straszliwie głowa, był niewyspany i zmęczony. Poganiał jednak Stasia, by ten jechał jeszcze szybciej. Besale, mimo iż zżyli się już jakoś, krzywo patrzył na każde odstępstwo od procedury, źle reagował na najdrobniejsze uchybienie, nawet niewinne spóźnienie. Miał chyba rację, bo w końcu te tysiące codziennych petentów pod drzwiami złorzeczyło nie bez powodu.

Już w śródmieściu, zauważył dziwne zbiegowisko. Tłum ludzi kłębił się wokół grubej, starej kobiety, siedzącej na składanym krzesełku przy miniaturowym stoliku, wypełniającej jakieś karteluszek i rozdającej je ludziom. Nie zwróciłby na to większej uwagi – tyle się ostatnio działo – gdyby nie

podobna sytuacja kilkaset metrów dalej. Tym razem stolik obsługiwany był przez przystojnego mężczyznę w sile wieku, a zgromadzony wokół tłum kilkakrotnie większy.

– Panie Stasiu, zatrzymajmy się na chwilę – zarządził. – Proszę zobaczyć co się tam dzieje.

Czekał w samochodzie na powrót kierowcy już prawie dziesięć minut i denerwował się straszliwie. Wyobrażał sobie to wymowne spojrzenie nadzorującego anioła. Besale owszem, był kimś nadzwyczaj uprzejmym, dobrze wychowanym i kulturalnym, lecz potrafił tak spojrzeć, przybrać taki wyraz twarzy, że wchodziło w pięty na długi czas. A przecież niewątpliwie będzie miał dziś rano powód. Nareszcie kierowca wrócił.

– No co tak długo? – Walczak był w widoczny, słyszalny sposób zirytowany. Mimo ostatnio szczególnej, łączącej ich trwałej, więzi finansowej – Co tam?

– Nic wielkiego szefie – kierowca uruchomił pojazd i świadom spóźnienia, ostro przyśpieszył. – Jacyś ludzie zapisują się do stowarzyszenia czy sojuszu dla zmartwychwstańców. Pobierają wpisowe i dają odręczne zaświadczenia. Taka tam zabawa.

– Naprawdę? – zainteresował się Błogosławiony. – A jak się to to nazywa?

– E... Sojusz Rozgoryczonych Zmartwychwstańców. W skrócie SRZ.

– Ciekawe – mruknął urzędnik. I choć wydarzenia ulicy, polityka, nie powinny go interesować, postanowił powiedzieć o tym Besale.

Dojechali wreszcie i Walczak znów musiał przepychać się przez zatłoczone korytarze. Dotarł w końcu do swojego gabinetu, gdzie z radością stwierdził, że anioła jeszcze nie ma. Sekretarka jak zwykle odebrała od niego marynarkę i pomogła włożyć zielonkawy habit oraz insygnia laurowe, obowiązujący w Urzędzie strój służbowy.

– Gdzie Besale? – zapytał od niechcienia.

– Nie wiem. Jesce go nie ma – odparła pani Krysia i nastawiła czajnik. Urzędowanie niezmiennie należało zaczynać od porannej herbatki. Petenci, nauczeni doświadczeniem, jak też stosownymi instrukcjami porozwieszanymi gęsto po korytarzach, nie śmieli dopominać się o szybką, punktualną obsługę. Zresztą sędzia wstępny i tak nie mógł wykonywać swoich powinności z uwagi na nieobecność łącznika niebieskiego.

– Widziała pani co się dzieje na ulicach? – zagadnął Walczak popijając gorącą herbatkę.

– Tak – stwierdziła pani Krysia. – I powiem panu sefie coś więcej.

– No?

– Będzie jescse gozej.

– Dlaczego?

– Ludzi psybywa w sybkim tempie, nie mają gdzie mieszkać, jedzenia brakuje i jest podłe, sezy się bezrobocie. Większość choruje, a niektózy umierają ponownie. Cmentaze rozkopane, nie ma gdzie chować. Wsystko coraz drozse, coraz więksy bałagan. I ta nieustająco słonecna pogoda, ta susa.

– No rzeczywiście – zasępił się Błogosławiony. – Tak to wygląda. A czy... – tu ściszył głos i przysunął się bliżej do sekretarki. – Czy ciągle są skłonni... no wie pani... dawać?

– To tak – pani Krysia uśmiechnęła się krzywo. – W końcu tez dostają od ządu pieniądze.

– A... ile juz, tfu, ile już... mamy?

– Jakieś cterdzieści tysięcy – odpowiedziała dumnie Krysia. – Muszę zajzeć do spisu.

– Nie nie! – wystraszył się Walczak. – Nie teraz. Rozliczymy

się pod koniec miesiąca.

W gruncie rzeczy bardzo dobrze wiedział ile powinno być w kasie. Chyba, żeby sekretarka podniosła samowolnie stawkę. Ale nie. Po pierwsze to Krycha była bezwzględnie posłuszną i uczciwą wobec przełożonych w końcu tyle lat pracy po tylu Urzędach, skąd zawsze otrzymywała rewelacyjne referencje, po drugie, miał swoją, nieznaną jej, niezawodną metodę bieżącej kontroli wpływów. A gdyby nawet, to i tak działał w tym zakresie częściowo na własną rękę.

W tym momencie rozbrzmiała muzyka niebieska, zapachniało jaśminem i za swoim nowym biurkiem pojawił się Besale, łącznik niebieski.

– Pochwalony – rzucił od niechcenia. – Jest jeszcze herbata... ata...a?

– Zaraz zapazę. – Krysia zerwała się na równe nogi i szybko włączyła czajnik.

Błogosławiony popatrzył uważnie na spóźnionego anioła. Nic szczególnego – jak zwykle świeżutka, wzorcowo odprasowana biała szata, błyszczące insygnia, fantazyjnie ułożone złote loki. A jednak coś było nie tak.

– Co się stało Besale? – zagadnął Błogosławiony.

– Ach – westchnął anioł. – Wyobraźcie sobie Walczak, że jestem zdenerwowany.

– To może... cokoladkę? – zaproponowała z głębi serca pani Krysia.

– Znowu? – skrzywił się anioł. – Nie. Wolę już coś... coś solidniejszego.

– Tak? – wykrzyknął zaskoczony Walczak. – Pani Krysiu, do kantyny. Mają tam znakomitego Napoleona. Nie pogardzicie Besale... kieliszeczkiem?

– Może być – obojętnie przytaknął anioł, po czym wygodnie rozparł się za biurkiem. – Wiecie, wracam prosto z narady.

– I co? – sędzia wstępny wypromieniowywał wprost zainteresowanie. W przestrzeń, dookoła.

– Streszczę to jednym słowem. Beznadzieja!

– ???

– Jest coraz gorzej. My tu na dole zaharowujemy się do cna, widzimy co się dzieje, że jest coraz gorzej, że wszystko się powoli rozsypuje, a kierownictwo ma to za nic i ciągle wymyśla jakieś... jakieś bzdury. Nie słyszeliście tego Walczak, prawda?

– Prawda.

– Od dzisiaj będziemy codziennie składać precyzyjne raporty, a wieczorem obowiązkowo wertować najnowsze rozporządzenia Góry, co zapewne z powodzeniem wypełni nam te resztki wolnego czasu. Widocznie znacząca część... naszych, a także i was niestety, postępuje niewłaściwie. Nie dość sumiennie.

– Czy... jakieś nie daj Boże... sankcje

– Na razie nie, ale kto wie?

Anioł zamyślił się na chwilę i podparłszy kształtną głowę delikatną dłonią, zapatrzył w różowutki sufit. Tymczasem wróciła pani Krysia z małym, estetycznym pakunkiem. Spojrzała porozumiewawczo na Błogosławionego, po czym rozwinąwszy papier, wstawiła obłą butelkę do biurka szefa. Ten wyjął dwa maleńkie kieliszki, napełnił je do połowy i podał jeden aniołowi.

– Proszę Besale, to na skołatane nerwy.

Anioł, jak już od kilku dni przy okazji masowo spożywanych czekoladek, i tym razem nie dał się prosić. Chwycił rażno kieliszek i rzuciwszy dziś bardziej niż zazwyczaj

stereotypowe; – Na Chwałę Pana – wypił od razu wszystko. Nieprzyzwyczajony jeszcze do tak dużej jednorazowo dawki alkoholu, stężał na chwilę, po czym młodzieńcza, gładko wygolona twarz, nabiegła mu krwią, a oczy stanęły w słup.

– Co to jest... est... stt? – wykrztusił wreszcie po złapaniu oddechu.

Walczak, który też zdziwił się mocą i wrednym smakiem markowego koniaku, zaczął coś podejrzewać.

– Gdzie pani to kupiła? – surowo spojrzał na sekretarkę.

– W kantynie sefie, jak zwykle.

– No tak – stwierdził Walczak zrezygnowanym tonem. – Nawet do nas, do Urzędu, dotarła ta potworna fala oszukaństwa. To przecież zwykła, podła karbidówka. Samogon.

– Psykład idzie z g... – nie dokończyła pani Krysia, gdyż przełożony spojrzał na nią ostro. Odwróciła się więc i wzruszywszy ramionami zajęła porządkowaniem papierów wokół maszyny.

Tymczasem aniołowi już przeszło, a wypity trunek, choć gorszy znacznie od markowego, zaczął przyjemnie rozgrzewać niebieskie wnętrzości i uspokajać. Wystąpił też efekt uboczny, polegający na pogłębieniu się efektu echa.

– Nie szkodzi – stwierdził bohatersko Besale. – Nalejcie jeszcze po jednym... nym... ym.

– Czy nie za... szybko? – zaniepokoił się Błogosławiony.

– Nalejcie! – zdecydował krótko rozgoryczony anioł. – Urzędowanie i tak rozpoczniemy później. Jeśli w ogóle, psia mać.. ć!

Po piętnastu minutach tej porannej sesji, łącznik niebieski gotów był odpowiedzieć na każde pytanie błogosławionego, nie

przejmując się nawet obecnością sekretarki, zwykłej, nie namaszczonej wszak śmiertelniczki.

– Ogólnie ludzie są w porządku – perorował filozoficznie – tyle tylko, że za mało myślą. Dają sobą powodować wrednym jednostkom jak bezwolne bydło.

– Dobrze – przyznawał Walczak. – Ale skąd się te jednostki biorą, kto za nimi stoi?

– On.

– Kto?

– Ach, głupie pytanie. Najwyższy.

– Po co?

– A bo ja wiem? Ma taki Plan... lan...an.

– Wiecie co Besale? Mnie się czasem wydaje, że..., że nie ma żadnego Planu. Że to wszystko to wielka, nieskładna improwizacja.

– Macie Walczak rację. Mnie się ostatnio też tak wydaje. Należcie.

– To w takim razie czym w tej sytuacji jest wasza, nasza wierność, kryształowa uczciwość, starania, pracowitość, lojalność?

– Powiedzieć wam?

– Tak.

– A może wy powiecie?

– Mogę. Tylko...

– No? – przynaglał anioł. – Mówcie do cholery!

– Dobrze. To głupota. Najgłupsza z głupot.

– Zgadza się! – wydarł się anioł. – To samo chciałem... e, powiedzieć... dzieć... eć.

Tłum zgromadzony na korytarzu, przysłuchiwał się zdziwiony coraz głośniejszej rozmowie, wreszcie regularnym krzykom dobiegającym zza drzwi gabinetu. Dawno już minęło południe, a petenci ciągle nie byli obsługiwani. Jedyne co się działo, to właśnie owe krzyki i co rusz wybiegająca z środka sekretarka, która wracała zaraz po kilku minutach, chowając za pazuchą jakiś pakuneczek. W końcu wyszła na korytarz i oznajmiła, że dziś obsługi nie będzie, żeby iść do domu, że sędzia jest niedysponowany. Potwierdzeniem jej słów był dobiegający z wnętrza głośny, wyraźny, choć jakiś taki bełkotliwy okrzyk sędziego; – Chrzanisz! – , a następnie; – Uważaj co mówisz bydlaku... aku... ku...u!

Z sędzią rzeczywiście musiało być coś nie tak. Czyżby wygrażał samemu sobie? Ludzie powoli rozchodzili się w milczeniu. Nikt nawet tym razem nie złorzeczył. Wszyscy rozumieli przecież ciężką sytuację, przepracowanie urzędników, ustawiczne braki. Władza, to mimo wszystko nie jest lekki chleb. Ostatni, odesłany z kwitkiem petent, usłyszał jeszcze dobiegający z gabinetu dziwny, całkiem nie licujący z powagą Urzędu rumor.

Spoza murów, z ulicy, narastał modulowany sygnał karetki pogotowia.

* * *

Minęło pierwsze w nowych warunkach Święto Zmarłych, za kilkanaście dni Nowe Boże Narodzenie. Drobne incydenty uliczne zaczęły się już w sierpniu, lecz znacznie przybrały na sile właśnie z końcem października. Powody były jak zwykle różne, choć generalnie szło o jedno – o zbyt szybką, zbyt drastyczną zmianę. Większość cmentarzy była dokumentnie rozkopana przez brygady odkrywkowe, więc mało kto mógł odwiedzić tego szczególnego dnia swoich zmarłych. Których zresztą i tak już tam nie było. Z uwagi na brak stosownej dokumentacji,

niewielka część z dotychczasowych użytkowników tych działek była w stanie znaleźć swoją rodzinę.

Z drugiej strony, co innego przecież szanować zmarłego przed laty dziadka, czcić go w pamięci, pielęgnować jego legendę, odwiedzać grób, a co innego powitać go owacyjnie żywego, dać mu wygodny kąt we własnym skromnym mieszkaniu, utrzymanie, wyżywienie. Nie mówiąc już o tabunach innych przodków sprzed stuleci. Łącznie z tymi, z jakichś powodów nie pogrzebanymi w ziemi – skremowanymi, potopionymi gdzieś po oceanach, zaginionymi w dziwnych okolicznościach.

Gwałtowny wzrost liczby ludności, połączony z opieszałością sądów Bożych i ogólną niewydolnością urzędów, zaowocował też natychmiastowym wzrostem przestępczości. Całą dobę, lecz zwłaszcza wieczorami i nocą, po mieście szwendały się agresywne, uzbrojone w co popadnie grupy staruszków. Mnożyły się rozboje, napady, morderstwa, a nawet brutalne gwałty. Potworzyły się całe zmartwychwstańcze gangi, których głównym celem było zdobycie pieniędzy, żywności, lokum. Szło o zwykłe przetrwanie. Każde, co ciemniejsze czy bardziej zaciszne miejsce aż roiło się od trzęsących się starców, kombinujących kogo tu okraść, jak zdobyć na ekstra miszkę gorącej zupy, czy flaszkę okowity. Coraz częściej zdarzały się też, powodowane mściwością, napady na wyjące wózki, dochodziło do pobić funkcjonariuszy niebieskich w trakcie pełnienia służby. Miejskie siły porządkowe dwoiły się i troiły, jednak cóż mogły zrobić w tych warunkach? Więzienia, areszty i szpitale pękały w szwach.

Lutek Żelazko niechętnie oderwał wzrok od komputera. Dzisiaj od rana było istne urwanie głowy i ciągle ktoś wydzwaniał. Ta młoda jędza Makowska, mimo, iż miała stanowczo zapowiedziane by wszystkie sprawy załatwiała sama, co i rusz łączyła go z jakimś natrętem. Robiła to chyba celowo, wiedząc o jego infantylnej, neofickiej słabości do gier. A nowa gra była nadzwyczaj wciągająca, i wbrew jej pogardliwej opinii, całkiem pouczająca. Wacek i Hela też mu ciągle wypominali te

niewczesne, dziecinne upodobania, lecz to przecież taka niewinna zabawa, zupełnie nieszkodliwa. Żałował tylko, że nie uległ tej fascynacji znacznie wcześniej, w młodości, gdy jeszcze oczy były sprawne, gdy funkcjonowały znakomicie refleks i pamięć. Cóż – nie było okazji, warunków, tanich komputerów. Podniósł niechętnie słuchawkę.

– Czego? – burknął.

– Przepraszam prezesie, ale dzwonią ze stolicy. – usłyszał przymilny, wredny głos Makowskiej. Dulęba, sekretarz premiera,. Chce się umówić na obszerny wywiad, czy dyskusję.

– Kto, z kim i gdzie?

– Kilka osób – dziennikarze, przedstawiciele kościoła, rządu, stołeczni notable. Mają nadzieję na spotkanie u nas, z całym zarządem firmy.

– Dobrze. Weź kontakt i powiedz, że oddzwonimy dzisiaj, powiedzmy kurde za godzinę. Tylko grzecznie Makowska.

– Oczywiście prezesie.

Powoli stawało się tak, jak przewidywał Skory. Jego pomysł, by założyć SRZ, to pomysł stulecia. W ciągu zaledwie dwóch dni przyjęli ponad trzysta tysięcy członków, z których każdy wpłacił skromniutkie dziesięć amenów wpisowego. To jakby nie liczył, trzy miliony. Jeszcze we troje, wynajęli szybciotko starą, dwupiętrową kamienicę przy głównej ulicy, wyremontowali ją, przekonstruowali i otworzyli wygodną siedzibę władz naczelnych partii. Dokooptowali znajomych, pracowników, uruchomili filie krajowe i teraz, dysponując ośmiomilionową, ciągle rosnącą rzeszą członków, stanowili w kraju potężną, dominującą wręcz siłę polityczną.

Nie napotkali jakichś większych przeszkód – działali zgodnie z obowiązującym ciągle prawem. Rząd cywilny nie miał żadnych formalnych podstaw by zablokować powstawanie nowej siły, a

rząd niebieski zaabsorbowany był czym innym. Ich wzajemna współpraca, można by rzec, kolaboracja, pochłaniała większość obustronnej energii, i już zupełnie niewiele zostawało dla prowadzenia bieżących spraw państwa, ogromniejącego społeczeństwa. Nowa partia nie głosiła zresztą żadnych, rewolucyjnych z obu punktów widzenia, poglądów. Umożliwiała tylko zrzeszanie się, zjednoczenie, osamotnionych w swych peregrynacjach zmartwychwstańców, obiecywała i zresztą realizowała skutecznie osobistą ochronę prawną swoich członków wobec zbiurokratyzowanych, ociężałych instancji niebieskich. Dawała większe nadzieje na sprawiedliwość.

Za dwa lata wybory do władz centralnych, więc każdy, jako tako myślący urzędnik, liczył się z możliwościami nowego ugrupowania, z przedstawicielami SRZ. Mnóstwo innych poszło w ich ślady, partie i stowarzyszenia powstawały jak grzyby po deszczu, lecz gdzie im tam do pionierów. Zarząd uruchomił własną, ogólnokrajową prasę, wykupywano powoli coraz to większe udziały w dwóch najpopularniejszych sieciach TV, uruchomiono działalność gospodarczą na sporą skalę, dając pracę tysiącom bezrobotnych.

Lutek uprzedził telefonicznie Przewodniczącego i po pięciu minutach, pokonując kilkadziesiąt metrów rzęsiście oświetlonych korytarzy, oraz lśniących sekretariatów, znalazł się w jego gabinecie.

– Witaj prezes – Skory uściśnął Lutka serdecznie. – Wygrałeś wreszcie?

– Gdzież tam... – Lutek rozsiadł się w obszernym, obitym skórą fotelu. – Ta cholerna maszyna jest na to kurde za cwana.

– Lutek, musisz wreszcie skończyć z tym „kurde”! – Skory był zdegustowany. – Tak nie wypada. Zwłaszcza... znamienitemu politykowi. Niebawem, kto wie, może premierowi?

– Nie gadaj Wacek – Lutek jakby zarumienił się.

– A co? Masz wszelkie potrzebne kwalifikacje. Bogatą przeszłość, doświadczenie. Ja będę prezydentem, więc ci pomogę w razie czego. Tylko... to „kurde”.

– Dobrze Wacek, przecież się staram.

– W porządku. W takim razie musimy się naradzić co do tej konferencji. To Lutek ważna sprawa.

– Domyślam się.

– Zaraz tu będzie twoja żona, stryj Kolka i Szekla. Musimy coś wspólnie ustalić.

– Rozumiem Wacek. Tylko po co nam Szekla? – zdziwił się Lutek.

– On się do takich rzeczy nie nadaje, a wszystkie zarobione pieniądze, cały wolny czas, traci na panienki.

– Może i nie, choć facet szybko się uczy. Poza tym jest członkiem zarządu.

Obaj panowie zamyślili się przez chwilę nad ludzkim losem, nad sobą, nad całym tym bigosem, niespodziewanie zgotowanym całemu chrześcijańskiemu światu przez potężne siły niebieskie. Pierwszy ocknął się Skory.

– Powiedz mi Lutek – jakoś nie miałem dotąd okazji zapytać – powiedz mi, jak się to wszystko zaczęło?

– Co?

– No całe to bagno, ten Sąd Ostateczny.

– Ach, nic wielkiego Wacek. – Lutek machnął ręką. – Któregoś wieczoru telewizja przerwała wszystkie programy i na wszystkich kanałach poleciała informacja o nadejściu Baranka, końcu świata i Sądzie Ostatecznym. To samo w radiu. Dodatkowo nad całym krajem, a podobno nad całym Bożym światem, pojawiły się na niebie ruchome, kolorowe teksty. Wiesz chyba jakiej treści?

– Ba!

– Rano prasa wszystko potwierdziła, a już następnego dnia pół miasta otrzymało pocztą urzędowe przydziały opiekuńcze z odpowiednią kurde dokumentacją. Zaczęły funkcjonować te cholerne wózki, papież ogłosił specjalną encyklikę, większość świętych obrazów i figur poczęła płakać krwawymi łzami. Znany ci zapewne Najświętszy Obraz w Najświętszym Sanktuarium, począł groźnie spoglądać i przewracać oczami. Początkowo szło dość sprawnie, wszystko oczywiście musiało być wcześniej przygotowane, zaplanowane, później jednak coś zaczęło zgrzytać. Zwłaszcza, gdy większość przedsiębiorców porozdawała swoje majątki biednym i potrzebującym. Co zresztą mieli robić, gdy z dnia na dzień wprowadzono nowe podatki – kościelny i niebieski. Akcje natychmiast spadły na łeb na szyję, mnóstwo firm pozamykano, wybuchło wręcz bezrobocie. I tak jest do dzisiaj.

– Rzeczywiście – co za dużo to niezdrowo. No i przerosła ich skala problemów.

– Najwyraźniej.

Ponownie zaległo pełne refleksji milczenie. Jeżeli ktoś się w tym kraju martwił o przyszłość, to właśnie oni, zwykli dotąd, szarzy ludzie, ożywieńcy. Martwili się i energicznie działali.

Tymczasem do gabinetu przewodniczącego weszli pozostali członkowie ścisłego kierownictwa, a więc Hela Żelazko, odpowiedzialna za zaopatrzenie i archiwa partyjne, adwokat Kolka, prowadzący nadzór prawny i propagandę, oraz Szekła, jako swojak, mający pieczę nad ochroną ogólną oraz bieżącymi kontaktami z mniej wyedukowanymi masami członkowskimi. Widok był imponujący. To już nie były aż nadto widoczne niziny społeczne, sprasowane przez życie mrówki, rozwalcowane, rozsypujące się, zrezygnowane wraki. To był kwiat społeczeństwa, grupa najdorodniejszych jednostek.

Skory, pomysłodawca SRZ, ciągle im zresztą powtarzał, że tylko

polityka, szczególnie ostro prowadzona, pozwala ludziom żyć pełnią życia. Nie martwić się o pieniądze, o zdrowie, o wygląd. Wszystko to ma się na kiwnięcie paluszką. Nie żadne tam odkrycia, wynalazki, nauka, sztuka, produkcja, handel czy inna, jakże męcząca działalność dochodowa, ale tylko i wyłącznie polityka. Przy zrozumieniu oraz stosowaniu pewnych konieczności, przy elementarnej zaledwie ostrożności, zdolny polityk, zwłaszcza u władzy, na fali, odżywa, kwitnie na nowo, młodnieje. Nic to, że kosztem ogółu – to tylko kwestia sumienia, które, rzecz jasna, trzeba na ten czas wyłączyć.

Hela zeszczuplała znacznie, ale nie to było najważniejsze. Stała się nareszcie prawdziwą, światową kobietą, zadbaną, wypielęgnowaną. Gustowny, łagodny w tonacji kostium z najlepszego materiału, dyskretna, nie rzucająca się w oczy biżuteria, cienkie pończoszki, eleganckie, zgrabne trzewiki, spokojna, skromna fryzura uczernionych włosów, fachowo umalowane oczy, stosowny makijaż. Klasa. Lutek, też przecież, tak jak pozostali panowie, wystrojony w najlepszy garnitur, patrzył ostatnio na swoją starą jak na gwiazdę. Był z niej dumny. Cały pokój momentalnie napełnił się różnorodnymi, zniewalającymi zapachami najmodniejszych, najdroższych perfum.

Skory uśmiechnął się – udał mu się zespół, nadto widoczne potwierdzenie czyichś niegłupich w swoim czasie słów, że to właśnie byt, warunki egzystencji, określają, determinują świadomość, zachowania. A w każdym razie prezencję. Tak to w każdym razie wyglądało.

– Szanowni państwo, prezesowo, panowie – zagaił celowo sztucznie i pretensjonalnie.

– Przestań Wacek – przerwała natychmiast Hela. – Nie jesteśmy na przedstawieniu.

– Słusznie! – poparł ją Kolka. – Mów do nas jak do przyjaciół.

– Zgoda. Chociaż chciałbym, byśmy możliwie szybko przyzwyczaili się do nowego tonu. Czekają nas bowiem rozmowy,

wywiady, szeroka publiczność. To jest właśnie teatr, zwłaszcza chyba od dzisiaj.

– Co się stało? – Szekla miał odrobinę bardziej niż pozostali, uzasadnione powody do niepokoju.

– Właśnie wspięliśmy się na Parnas – zawiadomił Skory. – Mamy spotkanie z przedstawicielami obu rządów, z dziennikarzami, z władzą.

– Kiedy? – spytał Kolka. – Bo musiałbym zmienić rozkład zajęć.

– To właśnie musimy ustalić. Spotkanie odbędzie się u nas, w określonym przez nas terminie i na naszych warunkach.

– Masz jakieś sugestie?

– Owszem. Przede wszystkim musimy być skromni, rzeczowi, wiarygodni.

– Jesteśmy przecież wiarygodni. – zdziwił się Szekla.

– Tak, lecz chodzi o wiarygodność medialną, dziennikarską. Wiarygodność specjalnego rodzaju.

– Wiarygodność tak wielką, że aż niewiarygodną. – uściślił Kolka. – To bardzo subtelna umiejętność. Ty Szekla nie masz za sobą całych tych lat walcowania przez telewizornię, prasę, radio. To trzeba rozumieć... podświadomie, odruchowo. I niekoniecznie trzeba stać pół życia z drugiej strony kamery czy mikrofonu by to czuć.

– Tak, Szekla – potwierdziła Heła. – My wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy przekłętymi dziećmi obrazu i dźwięku, niewolnikami tej... pstrokatej papki. Chociaż i ty powoli się wciągasz.

– To może beze mnie? – zaproponował Szekla. – Ja mam tyle, tyle... zajęć, że aż mi... mózg pęka.

– Mówi się, że pęka głowa! – poprawił Kolka. – A twój mózg to

chyba znajduje się nieco niżej.

– Tak, tak – Hela zmarszczyła brwi. – Wszyscy wiemy, jakie ty masz zajęcia.

Szekla obraził się i nic już nie powiedział.

– Zastanowimy się jeszcze – przyrzekł Skory. – Odpowiada wam jutro w południe?

– Będą kamery? – kompletnie niekonsekwentnie zainteresowała się Hela. W końcu była kobietą. – Muszę się jakoś przygotować.

– Hela! – Skory spojrzał na nią z uśmiechem. – Wyglądasz przecież ślicznie. Ale być może będą. To zależy głównie od nas. A teraz, przejdźmy do sedna. Mam nadzieję, że z hm... Bożą Pomocą, ustalimy szczegółowo, co i jak. W końcu gramy o całość.

Tego dnia nikt ze ścisłego kierownictwa partii nie był uchwytany. Zastępcy, sekretarze, dwoili się i troili, by sprostać nawałowi telefonów, faksów, zmieniać terminy umówionych spotkań, tłumaczyć się umiejętnie za szefów. Raz uruchomiona machina nadziei musiała funkcjonować nieprzerwanie. Takie są zasady, takie są oczekiwania.

* * *

Walczak czuł się kimś wielokrotnie, niesprawiedliwie skrzywdzonym. Po pierwsze, to Besale złamał mu szczękę tak dokumentnie, że musiał przeleżeć na specjalnym, rządowym oddziale chirurgicznym całe dwa miesiące. Żeby to jeszcze coś dało – gdzież tam. Próbowali wszczepiać jakieś transplanty, lecz nic nie chciało się przyjąć. Wymądrzali się o jakimś oddziaływaniu, promieniowaniu niebieskim, skażeniu. I koniec końców wstawili mu kilka metalowych zamienników. Nie wyglądało to źle, jednak metal to nie to samo co naturalny, zdrowy ząb. Anioł co prawda został w trybie natychmiastowym zdegradowany i poszedł do łopaty, lecz cóż to za pociecha. Walczak też z dnia

na dzień przestał być błogosławionym, a co za tym idzie, sędzią wstępnym. Wywalono go na twarz bez zbytnich ceregieli, a wszystko z winy tej wrednej, sepleniącej Krysi, która fatalnego dnia sprowadziła pogotowie, policję i jeszcze podkablowała przełożonym o łapówkach. Awansowała dzięki temu – jest teraz główną archiwistką przy okręgowym sądzie apelacyjnym. Nikomu już nie można ufać.

Jedyny pozytyw całej afery to ten, iż sprawy załatwiono bez rozgłosu i w zasadzie bez żadnych śladów w dokumentacji. Zwolnienie otrzymał standardowe, niby to z powodu reorganizacji, a tytuł błogosławionego utracił na skutek przedawnienia. Ba, dostał też drobną gratyfikację na otarcie łez. O piciu alkoholu w godzinach urzędowania i wymuszaniu łapówek, nikt nawet nie wspomniał. Formalnie ofiara urzędniczych rozgrywek, przetasowań, zmian prawnych. Cóż – choć śladowo, funkcjonuje jeszcze urzędnicza solidarność, układy z przełożonymi, znajomości. Umiejętnie wykorzystane nie pozwolą zginąć – mogą nawet zaowocować ponownym wwindowaniem się na ponadprzeciętność.

Ma teraz mnóstwo wolnego czasu, a ponieważ nie musi się chwilowo martwić o pieniądze – żona znalazła pracę w siedzibie SRZ, lwia część uzbieranych z wredną sekretarką zasobów wystarczy na jakiś czas, bezpłatne, magistrackie bony żywieniowe oszczędzają wydatków na jedzenie – chodzi po mieście i rozgląda się uważnie. Urzędnicze nawyki, organicznie wręcz zakodowane upodobanie do formalnego porządku, połączone z szczególnym, zdecydowanie przedmiotowym traktowaniem innych, umożliwia mu, warunkuje, swoisty ogląd świata, obserwowanych wydarzeń. Szkoda tylko, że nowe zęby uwierają go ciągle. Jakoś nie może się przyzwyczaić.

Ponury, brudny tłum, przez który musi się przepychać, drażni go. Smutni, zarośnięci i niedomyci ludzie, zmartwychwstańcy, łażą ulicami bez celu, wyglądając bezskutecznie jakiejś okazji. Większość sklepów zainstalowała solidne, grube kraty, przesłaniające skutecznie tak barwne, przyciągające niegdyś

uwagę witryny. To jeszcze jedna nowa konieczność. Niepotrzebna chyba jednak, bo i tak nie ma czym handlować, a i klienteli brak.

Na jednej z bocznych ulic zauważył dziwną sytuację. Kilkunastu starszych wiekiem, ponurych ożywieńców stało beczynnje wzdłuż ściany kamienicy, najwyraźniej czekając na coś. Tworzyli jakby kolejkę, co i rusz zasilaną nowymi oczekującymi. Co kilka minut pierwszy ze staczu znikał w bramie, by po jakimś czasie wyjść z niej i kiwnąwszy radośnie głową pozostałym, a zwłaszcza następnemu pierwszemu, powędrować w miasto. Walczak, nie namyślając się wiele, ustawił się na końcu.

– Co ci dolega? – spytał wylupiastooki staruszek za którym stanął.

– Zęby – odpowiedział Walczak ostrożnie i zgodnie z prawdą.

– Ho, ho kolego. W twoim wieku? Ja mam zaawansowanego raka płuc – pochwalił się kolejkowicz.

– Cóż, ja nie palę.

– No tak. W takim razie umrzesz na zęby.

Kolejka przesuwała się systematycznie, aż nadszedł moment, gdy rakowaty starzec wyszedł uśmiechnięty z bramy.

– W porządku – skinął na Walczaka. – Teraz ty.

Walczak nie bez obaw wszedł do ciemnej, chłodnej bramy. Po jej lewej stronie zauważył uchylone drzwi, z których dochodził znajomy, jaśminowy zapach. Zapukał delikatnie, a nie usłyszawszy odpowiedzi wszedł ostrożnie. Znalazł się w czymś w rodzaju komórki, zastawionej miotłami, szuflami, wiadrami. Pod małym, brudnym oknem zalegała sterta węgla. Jednak mimo tak przygnębiającego umeblowania, całe pomieszczenie wydało mu się niezwykle przytulne i ciepłe – a to za sprawą łagodnego, różowego światła, wypełniającego je bez reszty. Zrozumiał o co chodzi. Na koślawym krześle pod ścianą siedział młodziutki

anioł i patrzył na Walczaka współczująco.

– Witaj w Panu – wykrztusił Walczak. – Jestem następny.

– Witaj – odpowiedział anioł na pozdrowienie. – Co ci dolega synu... ynu...nu... u?

Dymisjonowany urzędnik nie wiedział co powiedzieć. Złotowłosey wyglądał na tle brudnego, zagrazonego pomieszczenia, na tle tej kupy węgla, jak niewinna, pięcioletnia, ubrana w biel dziewczynka na tle stosu cuchnących śmieci. Całkowity dysonans.

– Zęby i ... w ogóle – poskarżył się żałośnie.

Anioł wstał z koślawego krzesła, i wtedy okazało się, iż sięga Walczakowi zaledwie do piersi. Mimo to wydawał się kimś nieskończenie górującym nad utyskującym klientem.

– Zęby to nie problem, ale w ogóle? – powiedział łagodnie – Pochyl się synu... ynu... u.

Urzędnik pojął wreszcie w pełni, co tu robi ów młodziutki, niewyrośnięty cherub. Zrozumiał też, iż robi to całkowicie nielegalnie, w ukryciu. Schylił się jednak posłusznie, jak w gabinecie lekarskim, i bez protestu poddał oględzinom medycznym. Anioł wziął jego twarz w drobne dłonie i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Wierzysz... ysz... sz?

– Wierzę! – z przekonaniem oznajmił badany, nie próbując nawet wyjaśnić o jaki rodzaj wiary chodzi.

– Więc wypluj to żelastwo!

Walczak odchrząknął, po czym z rozmachem splunął na brudną, cementową podłogę. Poczuł, że wraz ze śliną pozbył się tak uwierających go, sztucznych, metalowych zębów. Kawałki białego metalu odbiły się kilkakrotnie o twarde podłoże i rozproszyły

wśród zalegających wokół śmieci.

– So teras? – zapytał, sepleniąc z powodu znacznych ubytków.

– To już koniec. Jeśli, jak mówisz, wierzysz, to za jakieś cztery godziny odrosną ci twoje zęby naturalne. Pod warunkiem, że nie zgrzeszysz. Przejdźmy więc, jeśli chcesz, do twego w ogóle.

– Nie, dziękuję. Mose innym rasem.

– Jak chcesz synu – zgodził się anioł szybko. – Należy się pięćdziesiąt amenów.

– Jak to? – zdziwił się Walczak. – To wy... , to... – nie wiedział co dalej powiedzieć.

– Tak – potwierdził spokojnie niebieski uzdrowiacz. – Pobieram opłatę. Rzecz jasna w wysokości zależnej od przypadku... ości... ci. Ja też mam koszta własne.

Walczak już chciał wystąpić jako urzędowy legalista, chwilowo nie na służbie, co prawda, ale zawsze. Jednak po błyskawicznie przeprowadzonej kalkulacji dał spokój. W końcu to tylko pięćdziesiąt amenów, a jaka ulga. I ta zupełnie realna obietnica nowych, własnych zębów. Wyjął więc portfel i odliczył żadaną kwotę.

– Niech będzie, i... dziękuję. I jeszcze... – zawiesił głos zbierając się do wyjścia – nie pytam cię o imię, bo i ty mnie nie pytas, ale... dlasego?

– Co dlaczego?

– Dlasego robis to tak... tak chałupniso, nielegalnie?

Świetlisty młodzieniec uśmiechnął się smutno i rozejrzawszy po pomieszczeniu, konspiracyjnie ściszonego głosem odpowiedział;

– Bo Plan tego nie przewiduje.

– Więc ty... działasz... wbrew? – Walczak zrobił wielkie oczy. – Może jesteś po... po drugiej stronie?

– Nie synu, nie wygaduj głupstw! – zakrzyknął oburzony anioł.
– Ja, my, nie łamiemy Planu. My Go uzupełniamy.

– Legalnie? – Walczak przymrużył oko.

Zapytany nic już nie miał do powiedzenia, więc usatysfakcjonowany podwójnie pacjent wręczył mu pieniądze, które ten przeliczył skrupulatnie, po czym schował gdzieś pod białą szatą. Skłonił lekko głową i zupełnie gratis wykonał nad odchodzącym znak krzyża.

– Z Panem... em... m – powiedział na pożegnanie współczująco, kręcąc z powątpiewaniem złotą czupryną.

Lekko oszołomiony Walczak wyszedł na słoneczną, pełną ludzi ulicę. To przecież oczywiste – myślał. Jeśli instytucje oficjalne nie są w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb, jeśli na skutek fatalnej organizacji, urzędniczej niewydolności, ale także obiektywnie krańcowo trudnej sytuacji, nie mogą sprostać społecznym wymaganiom, jeśli Plan nie działa, to naturalną kolejną rzeczą następuje rozkwit tego typu podziemnych, nielegalnych usług. Życie ma swoje prawa.

Po wstąpieniu do napotkanego baru i zjedzeniu darmowej prawie porcji manny niebieskiej, nie bardzo wiedział co ma z sobą zrobić. Za rogiem było małe kino, więc wykupił bilet i wszedł do ciemnej sali. Wyświetlano meksykańską, fabularyzowaną wersję życia starotestamentowego proroka Dawida. Interesujące nawet, ciekawie zrobione. Wciągał się powoli i rozparłszy wygodnie w krzesło, śledził powikłane losy przyszłego króla Izraelskiego, ulubieńca Pańskiego.

Pierwszy ból poczuł tuż przed słynną walką proroka z Goliatem. Ból wystąpił w obu szczękach – górnej i dolnej, następnie objął całą twarz. To w błyskawicznym tempie rosły mu nowe zęby, przerzynając się przez dopiero co zaleczone dziaśła. Aż

podskoczył z radości, ciesząc się tak szybką realizacją obietnicy odzyskania zębów. Jednak radość była zdaje się pochojna. Ból narastał, by po chwili wypełnić dręczącym ogniem całą czaszkę. Anioł musiał coś spartolić, bo nowe zęby wyrastały także pod starymi, istniejącymi jeszcze dotąd. Wypychały je bezpardonowo, wyrywając z korzeniami. Zawył jak katowany pies, i trzymając twarz w rękach, potykając się w ciemności o krzesła, wybiegł z kina.

I... trafił fatalnie!

Akurat całą szerokością ulicy przewalała się wielotysięczna demonstracja, zdążająca pod magistrat. Głodni i brudni, przeważnie starsi ludzie, wymachiwali ad hoc skleconymi transparentami, jakimiś szmatami, kijami. Starcze, ochryple gardła wykrzykiwały; – „Precz z Planem!”, „Powstrzymać wózki!”, „Komu to przeszkadzało?!”, „My chcemy do domu!”, „Osądzić sądzących!”

Harmider był straszliwy. We wszystkie strony fruwały wyrywane z jezdni brukowce, z hukiem pękały szyby witryn sklepowych, na ulicę sypało się potłuczone szkło.

Walczakowy ból wzmógł się do tego stopnia, że nie mogąc go znieść, biegał między zdesperowanymi demonstrantami wyjąc jak potępieniec. Myślał, że gęba mu eksploduje. Roztrącając agresywny tłum, miotał się od ściany do ściany krzycząc przeraźliwie, wymachując rękoma, błagając o pomoc. Ludzie, myśląc, że to jakiś wyjątkowo aktywny uczestnik, poklepywali go po ramieniu, wypychali do przodu, ściskali ręce. Z otwartych krzykiem ust Walczaka lała się krew, bryzgając na wydeptany tysiącami stóp trotuar.

* * *

Nareszcie pożegnali się. Limuzyny rządowe odjechały, a zmęczony zarząd SRZ został sam. Byli wykończeni, zwłaszcza Lutek i Hela – pewnie ze względu na swój wiek. Poszli więc do siebie – znudzony tą nadętą imprezą Szekla także – więc Skory

został sam. Siedział teraz w zadymionej sali konferencyjnej i próbował ogarnąć to wszystko, nad czym dzisiaj deliberowano, czego się dowiedzieli, co im zaproponowano. Światła były częściowo pogaszone, obsługa techniczna ospale pakowała sprzęt, za oknami cicho siąpił nocny jak zwykle deszcz, jedyne jak na razie odstępstwo od niezmiennie słonecznego scenariusza.

Mimo całej uprzejmej ceremonialności spotkania, mimo wielu budujących, obiecujących słów ze strony wysokich przedstawicieli władz cywilnych, kościelnych i niebieskich, mimo nawet dość konkretnych propozycji współpracy, piastowania posad rządowych, miał silne poczucie niedosytu. Brakowało mu autentyczności, szczerości rozmów. Tak, jakby wysocy funkcjonariusze realizowali swoje własne przedstawienie na użytek wścibskich kamer, wszędobylskich mikrofonów. Cała ta ugrzeczniona, rozwodniona konwersacja tchnęła sztucznością i powierzchownością.

Zespół SRZ co i rusz usiłował to przełamywać – zwłaszcza Hela była tu aktywna. Jednak niewiele to dawało, nie powodowało u urzędowych gości wyraźniejszego, emocjonalnego zaangażowania się w dyskusję. To byli zahartowani w bojach, zimni kalkulatorzy, zawodowi pływacy, ważący precyzyjnie słowa.

Usłyszał pukanie, po czym drzwi otworzyły się i do sali wszedł Henoch, anioł, dowódca ochrony rządowej, jednocześnie najwyższy rangą przedstawiciel niebieski.

– O! – zdziwił się Skory. – Nie pojechał pan jeszcze?

– Nie – anioł rozsiadł się w fotelu obok. – Część oficjalna skończona, aliści nas dwóch czeka teraz część właściwa, zasadnicza.

– Nas dwóch?

– Tak synu – Henoch starał się być zwięzły. – Bo to widzisz, właśnie ja jestem jedynym, prawdziwie uprawnionym

realizatorem Planu, a ty jedynym, który może tej realizacji przeszkodzić. Lub ją, w imię Boże, wspomóc.

– No, no – Skory zaskoczony był tą nagłą szczerością. – Cemu nie było o tym mowy przed chwilą?

– Dlatego, że prawdziwe rozmowy można prowadzić tylko w bardzo wąskim gronie, a po drugie scena teatralna, telewizyjna, też mają swoje ograniczenia i wymogi. – Henoch również był zmęczony, bo w jego głosie nie było śladu tak nadużywanego jeszcze przed chwilą echa, czy nawet drobnego pogłosu. – Ty akurat rozumiesz to synu, prawda?

– Staram się – westchnął Skory. – A... nasze zmęczenie?

– Azaliż godzinka snu nie wystarczy?

– Może... – kiwnął głową Skory.

– Więc niech się stanie! – rzekł anioł, po czym obaj, każdy w swoim fotelu, natychmiast zasnęli.

Obudził się nadzwyczaj wypoczęty, z krystalicznie jasnym umysłem. Sala była już całkowicie uprzątnięta, mikrofony, sprzęt techniczny wyniesiony, okna odsłonięte. Nocny, grudniowy deszcz nieustająco bębnił o szyby, stanowiąc stosowne tło akustyczne dla równie zwyczajnych już, zawodzących co i rusz sygnałów karetek pogotowia i wozów policji. Miasto wrzało swoim normalnym, nienormalnym życiem nocnym. Henoch spał jeszcze, wciśnięty głęboko w fotel.

Skory wstał i przeciągnął się aż zatrzeszczały kości. Podeszedł do barku, nalał sobie zimnej coli zaprawionej odrobiną brandy, zapalił papieroska i już naprawdę nic więcej nie było mu potrzebne. Poczuł się w pełni sił.

– Wypocząłeś synu? – Henoch też się obudził. – Możemy zacząć?

– Bardzo proszę – orzekł Skory i wrócił na swój fotel.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Henoch, anioł wysokiej rangi, także złotowłosy, około czterdziestoletni z wyglądu osobnik o czarnych, wyrazistych oczach, ubrany był w niebieskawą, wygodną tunikę, ozdobioną stosownymi naszywkami i insygniami. Pociągła, poważna twarz i wysokie czoło, obiecywały kogoś inteligentnego i odpowiedzialnego. Godnego szacunku i zaufania.

– A więc ustalmy najpierw fakty, dobrze? – zaczął.

– Ależ proszę – Skory przysunął sobie popielniczkę.

– Jesteś synu zmartwychwstańcem, którego niebawem czeka niestety opóźniony znacznie sąd Boży. Jesteś mężem w sile wieku, energicznym i inteligentnym. Nie masz obecnie rodziny, a w każdym razie nic o tym nie wiesz.

– Zgadza się... powiedzmy – uśmiechnął się Skory.

– Zaprawdę, dzięki swojej operatywności, kierując się potrzebami serca i rozumu, stworzyłeś najpotężniejszą obecnie siłę polityczną kraju. Powiem więcej – jest to w tej chwili jedyna realna siła w całym świecie chrześcijańskim objętym Procedurą.

– Naprawdę? – szczerze zdziwił się Skory.

– Tak jest, i powinienes w tym miejscu docenić moją... otwartość. Jednym słowem jesteś kimś nadzwyczajnym, godnym tej rozmowy partnerem.

– Dziękuję – Skory skłonił głowę. – A... pan?

Henoch popatrzył uważniej na przewodniczącego, następnie bez słowa wstał i także nalał sobie szklaneczkę. Wypił powoli i usiadłszy ponownie w fotelu, kontynuował.

– Ja jestem kimś dziwnym – pół aniołem, pół człowiekiem. Moim ojcem był Kain, tak, tak, ten Kain. Żyłem trzysta sześćdziesiąt pięć lat i nie umierając, zostałem przeniesiony

do Niego na... stałe.

– Rzeczywiście, tak to jest opisane. – skonstatował Skory, przypominając sobie pierwsze strony Pisma.

– W nowym, cudownym środowisku zaadaptowałem się znakomicie i szybko też awansowałem. Zdobyłem Jego bezmierne uznanie, zaufanie. Stałem się najbliższym, najlepiej znającym problematykę tego dziwnego świata, współpracownikiem, pokornym sługą. A obecnie, z Jego poruczenia, nadzoruję Procedurę w całości.

– Czyli... – Skory potarł czoło. – jak by nie patrzeć... jest pan za to wszystko... odpowiedzialny?

– Zaprawdę w dużej mierze.

– Cóż, rozmowa staje się interesująca.

Skory nie miał powodu nie wierzyć. Nie zdarzyło się jeszcze, by jakikolwiek przedstawiciel niebieski był przyłapany na kłamstwie, w dowolnie błahej, banalnej sytuacji. Nie mówiąc już o sprawach ważniejszych. A całe to, tak męczące spotkanie rządowe, miało zdaje się jeden cel – uwiarygodnić osobę Henocha, zupełnie nieznanego ogółowi dostojnika niebieskiego. To jasne. Ale po co to wszystko?

– I co dalej? – zapytał ostrożnie.

– No właśnie – zasepił się Henoch. – Jeszcze dwa tysiące lat temu, no, tysiąc powiedzmy, Plan wydawał się świetny. Skrojony na miarę ówczesnych oczekiwań, możliwości intelektualnych, stanu poznania. Aliści wdrożony zgodnie z terminami, z onegdaj ustalonym harmonogramem, okazuje się kompletnie nie przystawać do potrzeb, do możliwości tak waszych, jak i naszych.

– Owszem. Wszystko się wali.

– Tak. Przyznaję to ze wstydem. W dodatku, przeoczyliśmy zdaje się rzecz najważniejszą.

– Tak?

– Tę mianowicie, że zupełnie inaczej funkcjonuje Plan nie wdrożony, Plan Oczekiwany, Plan Potencjalny tylko, a całkiem inaczej Plan Spełniany.

– Zgadza się – przyznał Skory. – W momencie spełnienia, Plan natychmiast przestał pełnić funkcję Celu, Obietnicy, czy Marzenia, do którego należy dążyć, którego należy z radosną nadzieją oczekiwać. Stał się zwykłym fragmentem zwykłej rzeczywistości. Banalną, urzędniczą prozą. Ludzie, chcąc zachować zdrowe zmysły w tej... paranoi, żartują sobie i nie pozdrawiają się już jak zwykle; „Z Panem”, lecz złośliwym; „Z Planem”, nie modlą się; „Panie Boże”, lecz „Planie Boży”. Jedna literka, a jak cieszy.

– Rzekłeś – pokiwał głową Henoch. – Tak rzeczywiście jest i widzę przy tym, że doskonale rozumiesz problem.

Rozmówcy przerwali na chwilę, by popatrzeć na szarzejący już za oknami, zmaltretowany wydarzeniami świat. Dochodziła siódma rano. Deszcz przestał padać, chmury rozganiane przez zwykły o tej porze wiatr odsłaniały powoli wschodzące słońce. Jedni kładli się spać, inni, pełni obaw, wstawali. Gdzieś dojrzewały kolejne rozruchy.

– Jeśli już tak przyjemnie rozmawiamy – podjął ponownie Skory – to abstrahując od ostatecznego, nieznanego mi jeszcze celu tej rozmowy, mógłby pan powiedzieć co z innymi religiami, światopoglądami? Czemu tam nie dzieje się nic dziwnego, cudownego?

– Cóż, inne religie nie dysponują tak jasno, tak wyraziście skonstruowanym obrazem końca. Obrazem tyjącym wydarzeń masowych, globalnych. Tutaj sytuacja jest inna. Nade wszystko zaś, tak jasno sprecyzowane w Piśmie oczekiwania tych miliardów chrześcijan, musiały się wreszcie urzeczywistnić.

– Słowo ciałem się stało?

– Właśnie. Innowiercy – mużułmanie, buddyści, hinduiści – też oczywiście mają własne wyobrażenia rzeczywistości, końca, jednak albo tyczą się one wymiaru osobistego, realizowanego stopniowo, sukcesywnie i na bieżąco, albo nie mają tak precyzyjnego dookreślenia w czasie, terminach, warunkach, okolicznościach. Oni okazali się bardziej rozsądni. To wszystko synu.

– Innymi słowy ilość przeszła w jakość? Kiepską?

– Ilość i skumulowana intensywność – sprecyzował Henoch. – Przy czym zwróć proszę uwagę na zupełne pominięcie w tej... przemianie, zwykłych aspektów technicznych, organizacyjnych. To istota błędu, albowiem... On, jest raczej Artystą, charyzmatycznym Przywódcą, niż Inżynierem. I nie ma głowy do takich szczegółów. A ostatecznym celem naszej rozmowy jest nasza współpraca w rozwiązaniu tego gigantycznego problemu.

– Ale przecież to obciąża właśnie was, zarząd niebieski.

– Nie do końca – Henoch uśmiechnął się smutno. – Nie zapominaj jednak, że istniejemy i funkcjonujemy o tyle, o ile wyraźne jest nasze w Was właśnie wyobrażenie.

– Jak to? – Skory nie wierzył własnym uszom. – Was obiektywnie nie ma?

– Nie bluźnij synu! – zachnął się anioł. – Nie upraszczaj sprawy. My istnieliśmy, istniejemy obiektywnie, głównie jednak dla... samych siebie. Lecz tym właśnie mniej dla siebie, a bardziej dla Was, niejako szerzej, im wy bardziej nas potrzebujecie. Wewnętrznie. To rodzaj sprzężenia, lub... masowej, dość precyzyjnie skanalizowanej twórczości, formy. Rzeczywistość jest niezwykle plastyczna!

Skory próbował to wszystko jako tako zrozumieć, jednak przecież zdawał sobie sprawę, iż nie ma właściwych podstaw by prowadzić tego rodzaju dyskusję. Nie był filozofem czy choćby mistykiem amatorem. Rozumiał też, że pewnych idei, pewnych

prawd, nie można tak po prostu wyrazić słowami.

– Ale... On... istnieje? – spytał nieśmiało.

– Tak..., aliści... – Henoch zawiesił głos.

– Co? – wykrzyknął Skory.

– Zaprawdę On, Stwórca, jest..., nie jest... na tyle konkretny by można było o Nim..., o Tym... mówić.

– ???

– On... On jest... wszystkim i... niczym. Jednocześnie.

– Ale przecież ty, przepraszam, pan... – Skory zgłupiał już zupełnie. – Pan jest jego współpracownikiem, zastępcą?

– Prawdę powiadasz – Henoch był wyraźnie zakłopotany. – Lecz niejako... zaocznie, intuicyjnie, zdalnie wreszcie.

– A... tak umęczony tu... Syn? Zbawiciel? – rzucił ostatnie pytanie zrezygnowany Skory. – Grzech Pierworodny wreszcie, Odkupienie?

– Takóż. Mówiąc ściślej..., brakuje mi słów. Po prostu.

Zrozumiał jedno. Jeśli tak znaczny anioł, nadzorca, realizator Planu, ma straszliwe trudności ze zwerbalizowaniem najważniejszych dla obu pojęć, jeśli, kto wie, sam pewnie nie ogarnia Istoty Rzeczy, to cóż dopiero mówić o zwykłych ludziach? Tu raczej należy przemawiać poprzez uczucia, sny, mity, muzykę, poezję. A ten świat nie wyszedł jeszcze poza prostą konkretność, wyrachowany racjonalizm, pазerną ekonomię i... kiełbasę. Ten świat jest twardy, kanciasty i ocieka krwawym tłuszczem.

Obaj przechadzali się od jakiegoś czasu po całkiem już widnej sali, popijając swoje wzburzenie i nieporadność zimną colą „z prądem”. Zza zamkniętych jeszcze drzwi sali zaczynały dochodzić odgłosy pracowitej krzątania porannych sprzątarek.

Budynek partii budził się powoli z nocnego letargu.

– Nie jesteś synu zmęczony? – zaniepokoił się Henoch.

– Skądże – zaproponował Skory. – Proponuję jednak byśmy przeszli do mniejszego, bardziej przytulnego pomieszczenia. Do mnie.

Po chwili rozmowa mogła być prowadzona dalej, lecz już w zaciśnięciu kameralnego, ze smakiem urządzonego pokoju. Henoch zaaklimatyzował się momentalnie i odkrywając bezbłędnie podręczny barek, napełnił znalezionym trunkiem dwie małe szklaneczki.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponował bez ceregieli.

– Chętnie, tylko... chwileczkę. – powstrzymał go Skory. – To jest... alkohol. Piwo.

– Nie szkodzi. Nic mi nie będzie.

Rzecz jasna obyło się bez całowania. Przez chwilę delektowali się ożywym smakiem klarownej, schłodzonej lekko zawartości delikatnych naczyń. Pora była na konkrety.

– Masz sy..., masz jakiś pomysł? – zaczął Henoch.

– Niestety – przyznał Skory. – Ale jeśli niczego nie zmienicie, jeśli będziecie kurczowo trzymać się Planu, to za rok, góra dwa, cały Boży świat... stanie w ogniu.

– Wiem o tym. Dlatego właśnie rozmawiamy.

– A... czy Plan..., czy rzeczywiście Plan musi być wypełniony?

– Hm... To zależy wyłącznie od... Niego.

– Komunikujecie się jakoś?

– Oczywiście.

– On... też widzi co się dzieje?

– Zapewne... jednakże... – Henoch ponownie nie wiedział co powiedzieć. – On jest nadzwyczaj... konsekwentny i... radykalny.

– Chciałeś powiedzieć... uparty i... bezlitosny? – Skory nie musiał za bardzo dobierać słów.

– Nie, lecz... cóż – można tak powiedzieć – uśmiechnął się Henoch melancholijnie.

– Ale czasem reaguje na sugestie?

– Raczej na... modlitwę. Zwłaszcza zbiorową. Zapewne na zasadzie rezonansu morficznego.

– Tak? – Skory aż podskoczył. – W takim razie wiem co zrobić!

– No?

– Chwileczkę. Jeszcze tylko pytanie pomocnicze. Czy On rządzi też... czasem?

– On rządzi nieustannie i wiecznie. Zawsze.

– Nie, nie o to mi chodzi – Skory gorączkował się nieco. – Chodzi mi o Czas, zegary, bieg zdarzeń, historię, no wiesz.

– Tak – Henoch stał się nadzwyczaj poważny. – Czas, to jego jedno z ważniejszych imion. To On sam.

– W porządku – odetchnął Skory. – Za kilka dni Boże Narodzenie, i to jest chyba właściwy moment. Zaczynamy działać, skorzystamy nareszcie z naszej... siły partyjnej.

Siedzieli jeszcze jakieś pół godziny omawiając szczegóły, dotąd, dokąd o ósmej nie przyszła sekretarka, by ze zdziwieniem stwierdzić, iż zastała spóźniającego się zwykle szefa. Ale to się już skończyło.

* * *

Sznurka nie zdążono mu dostarczyć. Wcześniej, o ósmej rano,

załamany aresztant Walczak, chcący się z rozpaczy wieszać, został wezwany do komendanta. Współlokatorów ogromnej, zbiorowej celi, wyprowadzono już o piątej rano, więc te trzy godziny musiał w przygnębieniu spędzić zupełnie sam. Nie brał przecież pod uwagę chrapiącej w kącie, do tej pory pijanej, podstarzałej prostytutki, którą aresztowano w nocy za brutalne napastowanie młodego anioła barowego. Przez sen mamrotała coś o dzieworództwie, o niepokalanym poczęciu, o dzieciątku...

Prowadzony teraz ponurymi korytarzami przez zaspanego, grubego policjanta, spodziewał się najgorszego. Ostatni atak zębowy minął mu w nocy, więc miał jeszcze kilka godzin spokoju, jednak czuł, że następnego chyba już nie wytrzyma. Nawet nie chciało mu się obmyć zakrzepłej wokół ust krwi. Zresztą, nie było czym i gdzie.

Komendant stał przy oknie i piłował sobie zbyt długie pazury.

– A, Walczak! – powitał uprzejmie wprowadzonego. – Nasz he, he, zębaty prowodyr.

– Dzień dobry panu – smętnie odpowiedział Walczak.

– Dzień dobry? – komendant zrobił się czerwony na nalanej twarzy. – Ja ci dam łajzo dzień dobry!

Obejrzał paznokcie, schował pilnik do kieszeni munduru, po czym usiadł z rozmachem na jedynym w tym pomieszczeniu krześle, ustawionym wygodnie przy dużym biurku. Wyjął z jego szuflady długą pałę policyjną i energicznie położył na blacie.

– Mam ci naprawić te twoje kły? – zaproponował.

– Nnnie... – wzdrygnął się Walczak. – To i tak nic nie da.

– Nie? A czemuż to?

– Bo..., bo one co dwanaście godzin odrastają – wyznał aresztant żałośnie.

– Naprawdę? To czemuś łajzo podburzał ludzi do rzucania kamieniami? Czemuś się wydzierał jak głupi, i krzyczał; – „Na magistrat, na magistrat!” – Stój prosto jak do ciebie mówię!

Walczakowi było już wszystko jedno. Spodziewał się przeprosin, wyjaśnienia pomyłki, urzędowego sprostowania, a tutaj, od samego momentu aresztowania przed tygodniem, traktowany jest jak ostatnia szmata, jak parszywy śmieć. On, były sędzia wstępny, zasłużony, wzorowy obywatel. To i cóż, że zwolniony za łapownictwo, za picie wody w godzinach urzędowania? Odcierpiał już swoje, a teraz, ciężko doświadczony permanentnym odrastaniem świeżych zębów, jest w dalszym ciągu nikim dla tego prymitywnego, umundurowanego buca. Nawet nie pozwolono mu zobaczyć się z żoną i dziećmi. Nie stawiał się jednak w widoczny sposób, nie chcąc zarobić potężną pałą.

– Ja... ja nic takiego... – próbował kolejny raz wyjaśniać. – ja... miałem atak.

– Atak? Na legalne władze? – wydarł się komendant, i chwyciwszy z ręcznie pałę, wstał zza biurka. – Ty gnoju! Zaraz dostaniesz w ten brudny ryj!

Walczak nie wytrzymał. Sprężył osłabłe, zwiotczałe od ciągłego upływu krwi nogi, i skoczył do przodu. W każdym razie taki miał zamiar. Zaprawiony w bojach, przyzwyczajony do podobnych sytuacji komendant, uchylił się zgrabnie w bok, a aresztant desperat, stracił z takim trudem utrzymywaną równowagę i walnął obolałą szczęką w biurko. Pilnujący go, gruby policjant zdążył tylko złapać połę marynarki Walczaka, lecz ta, zrobiona z delikatnego materiału, oddarła się z trzaskiem. Biurko załała tryskająca z ust Walczaka krew, a wybite, dopiero co wyrosłe zęby, wyprysły na podłogę.

– Chryste Panie! – wrzasnął komendant. – Co ty baranie wyrabiasz?

Umundurowany urzędnik przestraszył się. Na domiar wszystkiego, brakowało mu jeszcze poturbowanego w areszcie penitenta.

Śmieć, bo śmieć, ewidentny rozrabiaka i prowodyr, ale zawsze była figura. Może ma jeszcze jakieś znajomości? Razem z policjantem pochylili się nad leżącym, broczącym krwią aresztantem – podnieśli go i posadzili na krześle. Komendant wyjął z szafki ręcznik i własnoręcznie wycierał oraz tamował krew. Walczak ocknął się, rozejrzał wokół, pomacał szczękę i całkiem już oklapł.

– Nic panu nie jest? – zaniepokoił się komendant.

– Nie... – wychrypiał Walczak.

– To wszystko przecież żarty. – tłumaczył głupio mundurowy winowajca. – Właśnie chciałem panu powiedzieć, że jest pan wolny.

– Co? – Walczak nie wierzył własnym uszom.

– Tak – uśmiechnął się krzywo komendant. – Może pan iść do domu. Tak jak wszyscy aresztowani.

– Jak to?

– Wczoraj wyszło ekstra zarządzenie, że wszyscy mają być zwolnieni do Wigilii Bożego Narodzenia. A dziś przecież Wigilia i... będziemy, będziecie się... modlić.

Walczakowi miał to wszystko gdzieś – wyjść, zostać, co za różnica. Właśnie stracił następne zęby, na szczęście jeszcze nie do końca zakorzenione. Stąd i ból żaden. Tylko ta krew. Nie miał już żadnych pragnień, niczego już nie oczekiwał. Ale zawsze wolność, to wolność.

– Naprawdę? – spytał przez zaciśnięte wargi.

– Tak. Dziś o północy wszyscy będą wygłaszać tekst urzędowej modlitwy. Może pan iść.

Podniósł się więc ciężko i wyprostował. Komendant, wraz z grubym policjantem, stali obok i patrzyli bez słowa na

uświnionego, zakrwawionego człowieka. Ten, odwrócił się w kierunku drzwi i powoli, jak najśłabszy starzec, opuścił pokój. Już miał zniknąć za załomem korytarza, gdy niespodziewanie odwrócił się i wychrypiał w stronę otwartych ciągle drzwi;

– A... pseprasam?

Komendant natychmiast domyślił się, o co mu chodzi i mimo, że nigdy by mu nie przyszło do głowy coś takiego, to jednak widząc obdartego, upokorzonego mężczyznę, biorąc też pod uwagę to, co mu przed chwilą oznajmił, uznał, iż nie warto się targować. Szczególnie w Wigilię.

– Przepraszam pana – burknął pod nosem, jednak na tyle głośno, by zainteresowany usłyszał.

Wyszedł więc Walczak na świat Boży, na przysypany świeżym śniegiem chodnik. Po tygodniu spędzonym w przepełnionym, zatęchłym areście, gwarne ulice wydały mu się spokojnym, bezludnym prawie parkiem. Miał jeszcze tylko jedną nadzieję, tę mianowicie, że odnajdzie wiadomą bramę i poprosi nieszczęsnego, nadgorliwego uzdrowiciela, by ten unieważnił swoją niebieską terapię. Przystanął na chwilę, nazbierał nie zdeptanego jeszcze śniegu i obmył z grubsza twarz. Zrobiło mu się rażniej, więc ruszył dalej, rozglądając się po napotykanym bramach.

Całe miasto oblepione było wielkimi, wyrazistymi plakatami, firmowanymi przez wszystkie rządy – cywilny, kościelny i niebieski – jak też przez władze naczelne SRZ. Plakaty nawoływały do głośnego, jednoczesnego, wyartykułowania podawanej niżej modlitwy, modlitwy mającej odwrócić katastrofalny bieg wydarzeń. Ulicami jeździły samochody policyjne z zamontowanymi głośnikami, nawołującymi do tego samego. Cichszy niż zwykle, szary tłum, wydawał się zainteresowany tymi prośbami – piśmienni odczytywali głośno drukowany tekst, a pozostali uczyli się go na pamięć.

Walczak nie miał sił ani chęci, by interesować się życiem ulicznym. Szukał bramy i charakterystycznej kolejki pacjentów. Nie zwracał uwagi na nic innego, nie czuł głodu, nie było mu zimno. Wędrował powoli, rozglądając się uważnie. Zrobiło się już ciemno, nadszedł wieczór, a on dotąd nie znalazł tego, czego szukał. Powoli narastał w nim strach. Atak ma się zacząć około północy, a przecież wyczerpany, blady, z potężną anemią powodowaną ciągłymi krwawieniami, małe miał szanse by znaleźć uzdrowiciela. Jakiegokolwiek.

Gdzieniegdzie, w oświetlonych oknach, migotały nieliczne w tym roku choinki. Szczęśliwcy, głównie żyjący jeszcze, posiadający jakiś kąt ludzie, przygotowywali się do skromnej Wigili. Pozostali, zmartwychwstańcy, mościli się w swych śmietnikach i zakamarkach. Było ich zdecydowanie więcej, stąd całe tabuny starców po bramach i przeróżnych wnękach. Gromadzili się jeden przy drugim, jak kaczki na zamrożonym jeziorze, by uchronić te resztki wspólnego, dychawicznego ciepła.

Walczak zrezygnował jednak, wiedział, że nie zdąży. Ból wyrzynających się powoli zębów narastał. Stracił też nadzieję, by choćby w tym stanie dotrzeć do domu, do niewidzianych tyle czasu dzieci. Całkowicie zrezygnowany usiadł pod murem, i trzymając się za twarz, kiwał głową to w jedną, to w drugą stronę. Pierwsze zęby przebiły się, a świeża krew poczęła zalewać mu usta. Wytrzymywał i nie krzyczał, ale przecież apogeum jeszcze nie nastąpiło. Męczył się tak jakiś czas, spoglądając z nadzieją w rozgwieżdżone, obojętne niebo, gdy nagle usłyszał dostojne bicie dzwonów kościelnych, a następnie dobiegające zewsząd słowa, wykrzykiwane, wyszeptywane właśnie teraz przez miliony umęczonych ludzi.

– Panie! Dziękujemy Ci za życie, jednak nie rozumiemy konieczności cierpienia. Jeżeli jesteś miłością, jeśli jesteś też sprawiedliwością, to czemu pozwalasz na niepotrzebny ból i upokorzenie? Być może zasłużyliśmy na karę – więc nas zabij, lecz jeśli nie – pozwól godnie żyć. Gdy Twój Plan nie może być wykonany, to odstęp od niego lub zmień na inny. Dałeś nam

wolność, więc zostaw nas w spokoju, a jeśli nie spełniamy Twoich oczekiwań, to powiedz nam o tym wyraźnie. Postaramy się zmienić. I prosimy Cię – skończ tę udrękę, bo już nie możemy wytrzymać. Amen.

W tym momencie w eks błogosławionego uderzył najsilniejszy jak dotąd ból. Zawył więc żałośnie ostatni raz i bryzgając wokół resztkami krwi, uderzając pękającą z rozpaczy głową o twardy, zimny mur, umarł.

* * *

Adam zupełnie nie wiedział co zrobić. Z jednej strony wyraźne, precyzyjne ostrzeżenie na temat dorodnej jabłoni i jej apetycznie wyglądających owoców, z drugiej nieobliczalna, kapryśna kobieta, jego żona. Dotąd wystarczało mu w zupełności to pożywienie do jakiego już się przyzwyczaił – świeża dziczyzna, ryby, jaja, sery i mleko. Teraz jednak Ewa coraz częściej wydziwia – szuka po ogrodzie jakichś warzyw, znosi przeróżne korzonki, jagody, owoce. Mówi, że to dobrze robi na cerę, na urodę. Owszem, niektóre z tych nowości nawet i polepszają smak potraw, pobudzają apetyt, lecz siły od tego nie przybywa. I ten wyszczekany, przymilny wąż, jej ulubieniec. Nie... – musi coś z tym wszystkim zrobić.

Dziś od rana postanowił budować ogrodzenie. Ewa jest słaba i nieporadna, więc taka konstrukcja powinna spełnić swoje zadanie. Wysłał ją w głąb ogrodu by nazbierała ziół na niestrawność, a następnie uwarzyła z nich jakieś znośne w smaku lekarstwo. Nieważne, że bez potrzeby. Ona lubi robić takie rzeczy, więc chyba cały dzień będzie miał spokój.

Gdy już był w połowie zmyślnej konstrukcji, gdy usiadł na chwilę by odpocząć i kontemplować własną zręczność, nadszedł Ogrodnik ze swoją świtą.

– Co robisz Adamie, mie, ee, e? – zapytał.

– Ogrodzenie, Panie – odpowiedział zgodnie z prawdą. –

Ostrzegałeś mnie przecież co do tej jabłoni, więc buduję solidną zaporę, by Ewa, ta nieobliczalna istota którą mnie tak szczęśliwie obdarzyłeś, nie mogła się tutaj dostać i narobić nieodwracalnych szkód.

Pan wysłuchiwał Adama i zafrasował się. Nie przewidział tego, że Adam tak poważnie potraktuje jego ostrzeżenie na temat nieszkodliwego w gruncie rzeczy drzewka. Nie było co prawda mowy o żadnym płocie, ale skoro już wpadł na ten pomysł...? Burzy to radykalnie jego Nowy Plan, lecz cóż – nie będzie teraz zmieniał swoich obietnic, nie będzie z siebie robił kogoś skrajnie niewiarygodnego. A Plan, jak przecież każdy, wdrożony nawet początkowo zamiar, można zmodyfikować. Lub choćby, jak ostatnio na wzruszającą prośbę tych umęczonych milionów, zmienić całkowicie i uruchomić ponownie. Zwłaszcza w fazie końcowej, rozliczeniowej. Spróbujmy więc kolejny raz...

– Zaprawdę, słusznie czynisz.... isz... sz! – rzekł Ogrodnik i oddalił się wraz z pomocnikami.

Po południu Ewa wróciła z koszykiem pełnym pachnących ziół i od razu zobaczyła wysoki, solidny płot, okalający szczelnie dorodną jabłoń.

– To z mojego powodu? – spytała uroczo zgryźliwie.

– Owszem – przyznał Adam. – I już nie chcę więcej dyskutować na ten temat. Zrozumiano?

– Tak, mój mężu – pokornie odrzekła kobieta, po czym spuściwszy skromnie śliczne oczka, poszła do domu przygotowywać lekkostrawną kolację. O tym, że rodzina się powiększy, powie mu jutro, gdy nie będzie taki wściekły.

Oburzony wydarzeniami wąż wyniósł się z okolicy i nikt go już nigdy nie widział.

KONIEC

Autorstwo: Golesz

Źródło: WolneMedia.net